

ARTUR SOBCZAK

ZBIÓR OPOWIADEK:

# SERCE TAJGI



Artur Sobczak

Opowiadanie ze zbioru

Serce Tajgi:

Kwestia Starców

Copyright © Artur Sobczak, 2020

Korekta: Marzena Rudzińska

Projekt Okładki: [Daria Zersen](#)

Ikony i edycja mapy: Natalia z Wielkorusi

eISBN: 978-83-957886-0-4





# Spis Treści

Kwestia Starców:

|            |           |
|------------|-----------|
| <b>I</b>   | <b>5</b>  |
| <b>II</b>  | <b>12</b> |
| <b>III</b> | <b>15</b> |
| <b>IV</b>  | <b>29</b> |
| <b>V</b>   | <b>35</b> |
| <b>VI</b>  | <b>40</b> |
| <b>VII</b> | <b>46</b> |

# Kwestia Starców

" ... Nie przyjechaliśmy tu walczyć. Wojska Paktu zostały związane przy delcie Jarmuły. Palcie domy, grabcie świątynie, a mężczyźni szlachtujcie. Nie. Nie jesteście tu by błyskać honorem. Nikt na tej wojnie nie jest. Walczymy za sprawiedliwość i sprawiedliwość będziemy wymierzać. Za krzywdy nam wyrządzone i poniżenie na nas zesłane. Kobiety i dziewczęta małe brać w niewolę. Jak jakiemuś chłopcu coś się stanie, to przed sądem polowym nie staniecie. Bez gwałtów. Pojmane kobiety jeszcze do was nie należą. Przydzielaniem kobiet zajmą się rozbiornicy. Będą je odpowiednio wydawać za zasługi wojenne i Trybunał ma was w opiece, jeżeli jakiemuś lordowi przypadnie ociężona przez jednego z was...."

*-Odprawa Drugiej Chorągwi Złotego Słońca. Kroniki Wojny Sprawiedliwości.  
Autor nieznany.*

## I

Deszcz siąpił w najlepsze. Promiennie uśmiechająca się Ewelina szła luźnym krokiem przez wydeptaną, szeroką ścieżkę pośrodku wioski. Osadę zaścielały ciasno obok siebie rosnące, wysokie na dwa sążnie, grzyby o szerokich, pokrytych wyrazistymi brodawkami, kapeluszach z blaszkowatymi spodami. Zwisały z nich przeróżne ozdoby; gliniane dzwoneczki, lalki, łapacze snów, bądź kolorowe chorągiewki. Sękaty trzon grzybów zaś były szerokie, szaro-brązowe, często zniekształcone, z wydrążonymi drzwiami, oknami i otaczającymi ścianami wzorkami i prymitywnymi rycinami. Niektóre nawet szczyciły się, dobudowaną do trzonu, drewnianą szopą bądź balkonikiem, jeżeli grzyb był wystarczająco wysoki, by posiadać piętro.

Mieszkańcy na widok idącej Łowczyni, zatrzaszywali drzwiczki okien z przestraczem. Ci nieliczni i niezłomni, co nie przeszkadzało w codziennych zajęciach deszcz, uciekali w popłochu do swych grzybiastych chat. Gdzieś dało się zobaczyć wścibskie dziecięce oczy, zaglądale w szpary okien, prędko zaraz od owych okien bywały odciągane przez rodziców. Nie zrażało to jednak Eweliny, i nie pozbawiało jej radosnego uśmiechu. W sumie nawet nie wiedziała, czemu humor tak mocno dzisiaj trzymał. Obudziła się rano dość wypoczęta. Wstała ze starannie wyszukanego mięciutkiego mchu, by zostać przywitana przez grzejące promienie letniego poranka i melodyjne wołania ptaków. Na poprawę samopoczucia poczęstowała się poziomkami leśnymi rosnącymi niedaleko jej miejsca odpoczynku. Wybrany szlak leśny,

pachniał wonną gamą kwitnących paprotników, kwiatów leśnych oraz przeróżnych kryształków wonnych. Potem zaś spotkała myśliwego, przyłapując go na dość wstydlivej dla niego pozycji i towarzyszącej temu czynności. Ten po dość kompromitującej wymianie zdań, nakierował ją na wioskę, którą teraz się przechadzała, prosząc o pomoc w rozwiązaniu dość obiecująco brzmiącego problemu gnębiącego jego osadę. I jeszcze ten deszcz. Ewelina uwielbiała, gdy rozrywała się nad nią chmura, by zaraz zalać jej skórę tysiącami, masujących, chłodnych kropel.

Szła więc, nie mogąc się wyzbyć malującego na jej twarzy szczęścia, podczas to, gdy wystraszeni chłopci, pouciekali i gapią się teraz w wielkim zdumieniu na przechadzającą ich wioską, uśmiechającą bez zrozumiałego dla nich powodu, legendarną Płomienną. Następną wesołą myśl utrwalała jej humor. Stała w końcu przed drzwiami, wyższej i szerszej od pozostałych grzybiej chaty, stojącej na środku wioski. Nad okrągłymi, obitymi żelazem, drzwiami wisiały dwie skrzyżowane siekiery. Symbol sołtysów w krajach Śródłędzia. Uderzyła pięścią trzy razy o drzwi. Czekala. Z wnętrza rozległ tupot nerwowo stawianych kroków, a wraz z nim szuranie ciężkich mebli. Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Rozbrzmiało metaliczne szcęknięcie i szelest odsuwanych, żelaznych łańcuchów. Drzwi uchylły się, a w progu stanął niewielki, grubawy, łysiejący Elf w średnim wieku. Odziany był w prostą, wykonaną z szorstkiego, brązowego futra, szatę, co zdawała się być o wiele za duża dla jego i tak szerokiej sylwetki. Okrągłą, pulchną twarz, znaczyły liczne zmarszczki oraz znamiona, skutecznie nadające jego wizerunkowi sędziwy wiek. Wydajną szczękę i niewielki podbródek pokrywała krótka, równo ostrzyżona, czarna broda. Drobną, niemal świński, nos zdawał się mu drżeć. Niewielkimi, wysoko osadzonymi oczyma, lustrował nerwowo Ewelinę, ściskając w wyczekiwaniu swe wąskie, otoczone zarostem, wargi. Milczenie trwało dosłownie chwilę, po czym Elf w końcu się odezwał.

- Pani Płomienna? - zapytał, suchym, drżącym głosem, jakby od jakiegoś czasu narastał w nim lęk przed wypowiedzeniem tych słów.

- Owszem – odpowiedziała łagodnym, życzliwym tonem. - Spotkałam na szlaku Rona, waszego łowczego. Mówił, że macie problem, którym mogę się zająć... Mogę wejść?

- Ależ tak, tak. Zapraszam. Już nam powiedział, że nadchodzisz - odpowiedział nerwowo, wyrwany z zamyślenia. Odsunął się i przytrzymując okrągłe drzwi, wskazał niewielki prostokątny stolik z krzesłami pośrodku na pozór ciasnej izby. Postawiła krok za próg, wychodząc z chmury deszczu.

Uchylila się instynktownie, gdyż sufit zdawał stwarzać sobą wrażenie dużo niżej osadzonego niż był w rzeczywistości. Sama izba zaś była skromnie, lecz przyjemnie umeblowana regałami, komodami i szafami, a gdzieś tam nawet wisiały trofea myśliwskie i drewniane lalki. Czyste Ściany były wyłożone ciemnobrązowymi panelami i tak samo jak na dębowej podłodze, widniały na



niej wryte przeróżne wzory. Wydłubane w ścianie trzy łuki, prowadziły do innych pomieszczeń w chacie: kuchnia, sypialnia, a nawet klatka schodowa. Elf trwał jakiś czas ze spuszczoną głową przy otwartych drzwiach, aż Płomienna się rozgości. Ku jego zdumieniu nie zauważył żadnych mokrych plam i śladów wyniesionych z ulewy. Uniósł lekko głowę ze zdumienia, gdy zobaczył, że z całej sylwetki legendarnej Najemniczki intensywnie unosi się para wodna. Nie wyglądała na przemoczoną. Bujne, krwiste włosy opadały z wdziękiem po plecach, a jej dziwna, aksamitna szata lśniła w świetle świec, jakby nigdy nie miała styczności z jakimkolwiek brudem. Westchnął głęboko, po czym w końcu zamknął drzwi. Ewelina nie czekając na dalsze zaproszenia, przysunęła do siebie jedno z krzesel. Opadła na nie z gracją, opierając się plecami o oparcie i założyła nogę na nogę. Elf podszedł do niej nieśmiało, stając obok niej.

- Wino mam, jeśli pani zechce - oświadczył niepewnie. Ta parsknęła pogodnym śmiechem.

- Zachowaj te siki na wypadek wizyty błękitnokrwistych. - Elf zmieszał się. - Mleko żubrze masz? Widziałam waszą zagrodę. Sobie zresztą nie żałuj wina.

- M...Mamy pani - przytaknął porozumiewawczo w stronę pomieszczenia z kuchnią. Usłyszała dochodzące stamtąd kroki. Gospodarz zasiadł ostrożnie naprzeciw Płomiennej.

- Jak cię zważ sołtysie?

- Jarko Krodeń, pani.

- Mi możesz mówić Ewa, bądź Ewelina, jak wolisz.

- Tak... Mm. Ewo - wyrecytował, z ledwo tłącym uśmiechem.

- Świetnie. Jarko. A zatem interes. - Z kuchni wyszła szczupła, ubrana w niebieską lnianą suknię, piegowata elfka w średnim wieku o atrakcyjnej wąskiej twarzy i długich kasztanowych warkoczach. Z niepewnym, nerwowym krokiem niosła ku nim dwa wypełnione kufle. Postawiła je przed nimi, po czym niemal biegnąc, uciekła w popłochu do izby kuchennej,

- Ładną wybrałaś sobie żonę Gospodarzu - stwierdziła z uznaniem.

- I mądrą przede wszystkim, pani.

- Taaa. Zdecydowanie jedna z ważniejszych cech, jeżeli masz się z kimś związać na całe życie. Swoją drogą i chata wasza też dość wykwinna i ładnie urządzona.

- Odziedziczona po ojcu, dziadzie i pradziadzie Ewelino. - Jego głos przybierał spokojny rozluźniony ton



- Dynastia Sołtysów. No, no. Cóż, w każdym razie wróćmy do problemu. Tak. A zatem – odchrząknęła. - Skrzacia Iglica. Nie byle jaka zresztą, bo iglica skrzatów niebiańskich. Nazywanych potocznie Nieboidami, a przez was uniwersalnie, niezależnie od rzeczywistej rasy, karłowatymi. Iglica usytuowana niedaleko waszej wioski, datująca się jeszcze przed owej osiedleniem. - Jarko Krodeń przytaknął głową. - Co z nią?

- Otworzyła się - wypowiedział niepewnie, ściskając sękaty dłoń na stole. Widząc, że Ewelina czeka w skupieniu na dalsze informacje, kontynuował – Dwa tygodnie temu. Była zamknięta jednego dnia, a następnego już była otwarta.

- Zamknięta? W jakim jest stanie?

- Dobrym pani. Ściany i dwór zarosły, ale skrzacie murarstwo trzyma się silnie. Nietknięte przez elfię, czy jakąś inną rękę. Stała po prostu, nikomu nie wadziła. Tylko dzieci trza było pilnować, by się tam nie bawiły.

- Czyli siedziba arystokracji wymarłej, od przynajmniej siedmiuset lat, rasy - mówiła w zamyśle do siebie. - Rasy karłowatych naturalnie osiedlającej się w rejonach górskich, którzy z jakiegoś powodu osiedlili się Tu na Śródlądziu i stała sobie owa siedziba tak przynajmniej siedemset lat, wypełniona zapewne różnymi cudami kinetyki. Nikt się nią nie zainteresował?

- Nie wiem, pani. Za mego żywota nikt. Za ojca mego i dziada z tego co mi wiadomo też nikt. A pytałem się, interesowałem się.

- Nikogo innego lub czegoś innego dziwnego nie widzieliście?

- Niczego. Uważałem. Łaziłem po chatach i pytałem, wszystko starałem się spamiętać. Jedynie Baśce od Rzeźników mleko przedziej skisło, a Rono mówił, że jeno wilkorów parę po lesie łąziło. Myśmy oddaleni od miast i głównych traktów. Tu nikt nie zagląda. - Recytował coraz to bardziej nerwowym tonem.

- Wilkory, znaczy co? Wilki czy te przerośnięte bydlaki z pasma Kości?

- Wi-Wilki pani Ewelino. Przepraszam najmocniej.

- Nie szkodzi. Uspokój się, czas mnie nie goni - uśmiechnęła się ciepło. Przyłożyła kufel z gęstym mlekiem do ust. Sołtys kiwnął głową, przełykając ślinę i spróbował kontrolować swój oddech. - Mm. Białe? - zapytała z uznaniem.

- C-co?

- Czy mleko z białych zubrów?

- Tak. Tak... Ziemia dobra to i trawa dobra rośnie. Całe stado teraz mamy.

- Można było się domyślić- zakręciła kuflem, z rozkosznym wyrazem twarzy. - Cudowny posmak Wanilii i Cynamonu.

- Czego?

- Przyprawy - odpowiedziała rozbawiona. - Coraz więcej to ich uprawiają na południu. Może nawet jeszcze za twojego życia będzie cię na nie stać - westchnęła. - No w takim razie, co w związku z tym, że się otworzyła. Bogacić się teraz powinniście, a nie biadolić. Potwór jakiś tę iglicę zamieszkuje?

Pochylił głowę do przodu, jakby następne słowa miały krytyczne znaczenie. - Upiór pani.

- Czyli jednak potwór. Skąd wiesz, że to upiór?

- Bo słyhać to jak się stanie przed wejściem. Szum i szept. Czasami zawyje, pełnym nieszczęścia głosem kobiety. Trzech z naszych weszło do środka... I... Wszedłem za nimi, gdy nie wracali - głos znowu zaczął drżeć. - Leżeli na schodach. Czasami się słyszy najemników w miastach. Opowiadają o tym jak elfy wędrują na kraniec świata, daleko na południe. Jak ich ciała umierają w tamtym słońcu. Tak nasi chłopcy wyglądali. Szare, suche ciała. Nie zabrałem ich. Jakieś upiorne światło rozbuchało na schodach, a potem czarny wielki kształt moim oczom pojawił i drżał i rozmywał się.

- Jak wyglądał?

- Nie wiem. Musiałem uciekać. Nie brałem nic, bo jeszcze cholera polazłoby za mną do wioski. Od tamtej pory nikt nie wchodzi.

- Czyli mam się pozbyć Upiora, z pradawnego dworu Nieboidów.

- Tak.

- Nie stać was. - Sołtys zbladł i już miał coś wypowiedzieć, ale Ewelina powstrzymała go ruchem ręki. - Ile dacie radę zebrać na symboliczną zapłatę?

- Ja n-nie wiem pani. Piętnaście, może Trzydzieści merów..

- Niech będzie te piętnaście. Może wynagrodzę sobie to jakimś artefaktem, który wpadnie mi w oko. Nie bój się, szabrownikiem nie jestem, nie ogołocę was. Trzeba czegoś naprawdę pokaźnego, co mogłabym do czegoś użyć, bym to podwędziła. Zaś normalnych, artefaktów, jeżeli rzeczywiście iglica ta nie była ruszana...

- Nie była - wszedł jej w słowo sołtys. - Byłem w środku. Pełno kurzu, nawet szczury widziałem. Ale świecidełek tam pełno.

- To i wartość czterdziestu takich waszych wiosek można tam znaleźć.

- Dobrze Ewelino - po raz pierwszy, jego okrągła twarzyczka wykrzywiła się w blady uśmiech.

- W takim razie - zachłysnęła się mlekiem. - Mm. Zrobimy tak. Wejdę do tej waszej Iglicy. Ty swoim ziomkom za to przekażesz, by pod żadnym pozorem nie wchodzili tam za mną. Nie wiem do końca z czym będę miała do czynienia. Może się okazać, że nic z tym się nie da zrobić. Może być tak, że nie wyjdę. W takim razie poradzę, by cała wasza wioska się spakowała i spieprzała jak najdalej, co i tak zresztą powinna zrobić.

- Co?

- Zaraz wytłumaczę. Jeżeli nawet uda mi się wyjść, absolutnie nikt tam nie może po mnie wejść, dopóki nie oznajmię, że jest po sprawie. Z upiorami bywa tak, że czasami trzeba złamać samo ogniwo ich wiązań, co jest bardziej skomplikowane niż machnięcie bronią, choć i to czasami działa. I tak. Gdy wykonam to zlecenie i doszczętnie ograbie Iglicę, zalecam wam opuszczenie na stałe waszej wioski i osiedlenie jak najdalej od owej wieży.

- Ależ jak to? Upiór może wrócić? - zląkł się sołtys.

- Nic się nie orientujecie, co się teraz dzieje na świecie? - zapytała chłodno kobieta. - Nie. Upiór nie wróci. Złamie się więzy, to odejdzie na zawsze. Więzy mogą mieć zabezpieczenia, usiane iluzjami i paradoksami, ale jak się je zerwie to jest to ostateczne przegnanie. Mmm, uwolnienie upiora, prawidłowe określenie. O wiele gorsze „Coś” może was najść, po tym jak tego upiora się pozbędzie i wyrznie was wszystkich w pień. Naprawdę nie wiesz?

- Pani n-nie. Ale nie możemy opuścić tej ziemi. To ziemia naszych dziadów, tu świetny grunt na uprawy, tu żyjemy i harujemy od stuleci, kultywując spuściznę naszych przodków. Ta wioska zasługuje na lepszą przyszłość, nie można jej tak po prostu rzucić!

- Można i musicie. Szpicogórzanie wylażą ze swojej góry i mordują i palą, co im tylko po drodze nawinie. Nie dyskryminują ze względu na wiek. Może, jeżeli nie jesteście elfem, to przejdą obojętnie, ale nimi jesteście. Wszystkich ciągnie do karłowatych ruin, więc jeżeli do tej pory żaden się nie zjawił, to oznacza, że coś trzymało ich z daleka i prawdopodobnie tego już nie ma, skoro iglica została otwarta. W pewien sposób ten Upiór was ocalił, inaczej byście okradli i nie byłoby potrzeby mnie tu sprowadzać.

- Ewelino, nie możemy. Elfy tutaj nie porzucą wioski, są zbyt na to niezłomne. - z trudem starał opanować drżenie, lecz jego łamiący głos zdradzał przerażenie i żal, które go teraz wypełniało.

- Karłowudy przyjdą po was.

- A jeśli nie? A co jeśli nie? Mamy od tak porzucić dorobek zostawiony nam po przodkach, przez byle pogłoskę, że coś po nas przyjdzie?

- To nie jest pogłoska Jarko. Biłam się z nimi, byłam świadkiem, uciekałam przed nimi. Nie ryzykujcie.

- Toć palisadę postawimy. Wał, fosę. Strażników wynajmiemy. Przecie będziemy mieli na to bogactwa.

- Zabije strażników, palisadę spali, może paru z was zdoła uciec.

- A ty? Obroniłabyś nas, jesteś legendą nikt tobie nie jest równy.

- Nie ma na Gaji władcy, co by dysponował wystarczającym majątkiem, by wysłać mnie przeciw jednemu z tych łażących pancernych wozów. - parsknęła ponuro Płomienna. Sołtys objął twarz dłońmi.

- Nie odejdą, nie przekonasz ich.

- Masz dzieci?

- D...Dwie córki.

- Nie wydawaj ich na pastwę oporności wioskowych. Odejdź sam w takim razie.

- Nie mogę. Dorastałem z nimi. Podjąłem roli. Nie mogę ich opuścić. To dobre Elfy, pani. Ziemia tu dobre. Drewno bujnie rośnie. Ta wioska zasługuje na lepsze czasy, które ta wieża nam przyniesie.

Ewelina pokręciła z politowaniem głową. - Aby na pewno? - Sołtys odwrócił ciężko wzrok. - Mówisz to w momencie, gdy słyszysz szczęk kos i wideł z zewnątrz. Coś mi się wydaje, że w zbyt wielkim poważaniu ich trzymasz. - Przechyliła swój kufel, wlewając całą pozostałą zawartość do ust, po czym postawiła go na stole i podniosła się. - Cóż. Mm. To nie ode mnie zależy i nie po to tu jestem. Pójdę, oczyszcze, zbiorę nagrodę i pójdę swoją drogą. Od was zależy, czy posłuchacie rozsądku. Przemyśl to sobie Jarku. Jeżeli tak się o nich troszczysz, to i ich spróbuj przekonać. - Sołtys milczał, wpatrując beznamiętnym wzrokiem w blat stołu. Ewelina skierowała się ku drzwiom. Zanim jednak je otworzyła, spostrzegła niewielką, martwą gałązkę jemioli przybitą do framugi drzwi.



Pogładziła delikatnie pęd, po czym ten nagle zazielenił się życiem. Wyrosły z niego delikatne listki. A na ich końcach rozkwitło na chwilę złote kwiecie, by zaraz przeobrazić się w gładkie białe owoce. Odwróciła wzrok ku drzwiom, otworzyła i wstąpiła w gęstą chmurę lejącego deszczu. Przystanęła parę kroków przed domem sołtysa, by spojrzeć na czających się pod osłoną grzybnego kapelusza pięciu chłopów patrzących na nią spod byka, kurczowo trzymając się swoich kos i wideł. Ze zdumienia rozwarła szeroko oczy i parsknęła drwiącym, niemal maniakałnym chichotem, po czym ruszyła wzdłuż ścieżki, kręcąc głową.

## II

Okazała budowla Iglicy pięła w górę, zrównując z majestatem otaczających ją koron wysokich dębów i wielkich paprotników. Popękana znamionami czasu, śnieżno-biała, usiana licznymi ciemnymi okienkami, marmurowa ściana okrągłej wieży, błyszczała się od spływającego po niej deszczu. Gdzieniedzie walały się samotne marmurowe bryły, czy też osłonięte roślinnością fragmenty pozostałości po granitowym ogrodzeniu. Niewątpliwie kiedyś był tu też dworek. Ewelina nie do końca potrafiła ustalić, co się z nim stało. Rozebrano go, to niemal oczywiste, lecz nie widziała w wiosce żadnych murowanych budowli. „Włodarz ziemny może? Cóż, zobaczy się tego istotność.” Szła pokrytą zielenią i zatartymi czarnymi wzorcami geometrycznych figur, ścieżką. Zagrzebane w poszyciu, uszkodzone sylwetki niewielkich figurek, przedstawiające groteskowo umięśnione rogate karły o gołębich skrzydłach wyrastających z pleców, wpatrywały się w nią pustym wzrokiem.

Podeszła w końcu przed okazałe, owalne wrota, kontrastujące swym czarnym obsydianowym wykonaniem z otaczającą je śnieżno-białą ścianą. Większość blado-złoty fresków na drzwiach była starta i niezrozumiała. Tliły się znów pojawiające motywy krępych, umięśnionych skrzatów o gołębich skrzydłach oraz ich do złudzenia przypominające słonie w ludzkiej skórze, gruboskórne towarzyski. Również z gołębimi skrzydłami. Spomiędzy fresków i symboli wyróżniała się bazaltowa płytką, z wyrytym na niej ciągiem złotych symboli, sprawiających wrażenie losowo podoczepianych ze sobą równych linii, tworzących swego rodzaju mozaikę. Ewa zaś nie dała się zwieść, iż posiadała podstawową wiedzę na temat skrzaciego pisma – Karłolicy. Każda takowa mozaika to wyraz, gdzie odpowiednie kształty równych linii zawartych w mozaice odpowiadają literom.

- Ard – Ja... Nie... Ju. Ard Ju... Uriamof? - wyrecytowała powoli Ewelina. - Miasto to to nie jest, więc Ard tutaj jest Domem. W takim razie Dom, oni, czyli rodu, Białogłowych. Uroczo. - Westchnęła z rezygnacją. Uniosła zaciśniętą pięść i uderzyła pięć razy o wrota. Czekwała z założonymi rękoma. Po chwili ponownie odpukała pięć razy, tym razem mocniej i głośniej. Nie doszła jej żadna odpowiedź. - Grzeczność zawiodła - stwierdziła z przekąsem, po czym

zdecydowanie pchnęła potężne wrota Iglicy. Rozwarło się skrzypnięcie i chrzęst czarnej skały ocierającej o potężne metalowe zawiasy. Wrota odchyliły się w głąb budowli, ukazując przed Płomienną obszerne, pogrążone w ciemności pomieszczenie, na końcu krótkiego korytarza.

Wstąpiła w głąb budynku. W momencie, gdy światło burzliwego popołudnia już nie dosięgało dalszej części kafelkowego podłoża, Płomienna uderzyła, rozjarzoną błękitną luną, dłonią o swoją pierś. Sylwetka Makowłosej rozpromieniała jasnym światłem, oblewającym rozległą komnatę błękitem. Spojrzała ku górze. Jak się spodziewała, pośrodku sufitu ukazał się szeroki, okrągły szyb pnący aż ku szczytowi iglicy. Ewelina doliczyła przynajmniej czterech wysokich na siedem i pół łokcia, pięter. Niechybnie było ich więcej, lecz światło nie dosięgało i nie pozwalało na całkowite oświetlenie szybu.

Z marmurowego sufitu pomieszczenia zwisały z kanciastych czarnych skrzynek na grubawych, srebrnych drutach, kryształowe cylindry. Na pajęczynach, oplatających te dziwaczne żyrandole, zauważyła jeszcze bardziej cudaczne pająki, mieniające się od jaskrawych, kolorowych światel.

- Ciekawe czy...- powiedziała sama do siebie z zainteresowaniem, po czym uniosła rękę w kierunku jednej z lamp, a z dłoni huknął cienki piorun uderzający w jedną z czarnych skrzynek. Lampa zamigotała cienkimi, bladymi liniami złotego światła. Trwała tak dwie sekundy, po czym zgasła.

Kobieta otrząsnęła dłoń z bolesnym sykiem. - Ulotniło się, bądź wszystko darmozjady wyzarliście – spojrzała z dezaprobatą ku pająkom. - Cóż, szkoda - westchnęła, po czym w końcu rozglądnęła się po obszernej, okrągłej komnacie w której się znajdowała.

Okazała się w lepszym stanie niż przypuszczała. Opowiadające mity, legendy, baśnie i niewątpliwie historię rodu freski ścienne były zaledwie nieco zakurzone, choć nie tak bardzo jak powinny być po kilkuset latach zaniedbania. Złote posągi kinetechiczne, o kształtach figur geometrycznych usytuowane przy ścianach komnaty, unosiły się leniwie w powietrzu. Naprzeciw niej stało przestrzenne, kanciaste biurko z malowanego na biało drewna. Za nim trzy regały z równo ułożonymi księgami i granitowymi tablicami, koło których widniało przejście do następnego pomieszczenia. Niewątpliwie schodów dla gości.

Podeszła do biurka. Leżały na nim sterty równo ułożonych płyt z wypisaną na nich czarnym pismem, karłolicą. Kanciasty pojemnik ze stwardniałym atramentem, garść pożółkłych piór w kamiennym kubku, oraz kinetechiczna figurka w postaci dziesiątek czarnych, lewitujących sześcianów otaczających złotawy pręt. Leniwym ruchem przemieszczały się z góry na dół, tworząc sobą wibrujący kształt klepsydry. Po drugiej stronie biurka białe krzesło rozmiarem przypominające ławkę. Przejechała palcem po powierzchni mebla. Czysto.

„Sprzątał tu ktoś? Demon może, a nie upiór. Domowik? Nie, one nie zabijają. Zwłaszcza poprzez wysuszenie. I czemu nie sprzątnięto pajęczyn z neonitów. Kłobuk? Nie... Fleje nie sprzątają tak po sobie, a zwłaszcza po kimś. Ciało nie widziałam, ale sołtys mówił, że wysuszone. Może lunomanta...”

Prychnęła z prześmiewczą pogardą. Wsłuchiwała się. W pomieszczeniu panowało echo toczącej się na zewnątrz burzy. Udało się jednak wyłapać wąły, eteryczny szum powietrza dochodzący gdzieś zza wewnętrznej ściany pomieszczenia i odgłosy... Skrzypiącego drewna. Zdecydowanie wyczuwała obecność jakiejś istoty. Coś zdawało się ją obserwować. „No to mam twoją uwagę paskudo, ale czym ty niby masz teraz być?”. Zanim jednak podążyła za źródłem, machnęła od niechcenia dłonią i książki oraz tablice z regałów zniknęły w niebieskich płomieniach. Westchnęła i nie rozważając dłużej, ruszyła ku przejściu do klatki schodowej.

Schody wąskie i wijące się spiralnie w górę. Zdecydowanie nie robione z myślą o domownikach, wołących używać szybu pośrodku iglicy do przemieszczania się między piętrami. Wnętrze klatki w kwestii przepychu kontrastowało z poprzednią komnatą. Gładkie, bazaltowe ściany i schody wykonane jakby z jednolitego kamienia, kształtowały zimny, ascetyczny obraz. Bez wątplenia celowo wykonane w takim stylu.

Po dotarciu do pierwszego piętra jej oczom pokazał się spowity ciemnością, szeroki, wyłożony niebieskim dywanem korytarz o ścianach wykonanych z białych, drewnianych paneli, przyozdobionych grubawymi, purpurowymi tapiseriami, z wyszytą pośrodku złotą klepsydrą. Niewątpliwie znak rodowy domu.

Podeszła do jednej z tkanin. Po bliższym spojrzeniu powierzchnia tapiserii przypominała bardziej skałę niż włókno. Płyta, giętkiej, powiewającej na wietrze o niewyjaśnionym źródle, skały. Płomienna sięgnęła ostrożnie, chwytając skrawek kamiennej tkaniny, który pod naciskiem palców, rozsypał się w drobny fioletowy miął unoszący w gęstej chmurze wokół dłoni Eweliny. Po chwili jednak, owa chmura kurczliwie zbiła się w sobie, odtwarzając skrawek płótna, by połączyć na powrót z resztą tkaniny. Makowłosa ponownie sięgnęła dłonią, gładząc w zadumie skalną tapiserię, po czym dobyła szabli i cięła pewnie, odcinając od ściany niemal całe płótno. Te rozsypało się drobnym piaskiem na podłodze. Odgarniała stopą utworzony stos piachu, szukając czegokolwiek, lecz jedyne co znalazła, to więcej wibrującego miálu już wznoszącego się w powietrzu, by na powrót odtworzyć uszkodzoną tkaninę.

Ruszyła ku następnej, identycznej Tapiserii wiszącej parę kroków obok. Tę również cięła. Tak samo nic nie udało jej się znaleźć. Trzecia z rzędu i nic. Dopiero przy osiemnastej, opadający piach odkrył ukryte za tapiserią marmurowe drzwi o kwadratowym kształcie. Nie było klamki, ani zamka na klucz, lecz przy każdym boku wyryto podłużne cienkie otwory. Poszczęściło się

jej, obawiała się, że znajdzie owy pokój wyżej. Cień lekkiej satysfakcji przebiegł przez kąciki ust Eweliny, lecz szybko spowaźniała. „Gdzieś zatargała martwych ma poczwaro?”. Jak na znak, że ściany po przeciwnej stronie korytarza zaczął się wydobywać niemal niesłyszalny szum eterycznego powietrza i jakby nerwowy stukot... zębów? Ewelina udała, że nie słyszy niezbyt subtelnej obecności owej istoty i ruszyła ku kolejnym tkaninom z minerału.

Dopiero przecięcie trzydziestej już tkaniny poskutkowało niebiańskim w uszach Eweliny łupnięciem metalu o drewno. Odgarnęła piach, by odnaleźć w nim srebrny, długości dłoni, unoszący się w powietrzu szpikulec o podłużnym cienkim kształcie. Wyciągnęła go z kopca, a razem z nim wyciągnęła trzy identyczne szpikulce, razem dryfujące wokół niewidocznego punktu między nimi, przybierając kształt krzyża.

Odetchnęła z satysfakcją, po czym wróciła do wcześniej spotkanych drzwi. Rozciąła ponownie odnowione płótno i przyłożyła krzyż tak by jeden ze szpikulców wpasował się w prawe wgłębienie u drzwi. Ramiona okryła łuna blado-niebieskiego światła i wepchnęła szpikulec. Chwyciła lewy kawałek dryfującego metalu i z lekkim zachwianiem zaciągnęła go na drugi kraniec, również wciskając metal w odpowiedni otwór. Dwa pozostałe kawałki drgały spazmatycznie w przestrzeni na środku drzwi. Ramiona Eweliny zajęły się jasnym lazurowym płomieniem, po czym przeciągnęła ku otworowi na dolnym brzegu i z widocznym już wysiłkiem wepchnęła go. Został jeden. Z ciała Eweliny zaczęły uwalniać się fale i chmury niebieskiej energii, zaś oczy zajął błękitny płomień. Złapała srebrny szpikulec i z potężnym rykiem i drżącą dłonią dosunęła ostatni element klucza do górnego otworu. Tuż po wciśnięciu kawałka metalu z drzwi wydobył się klekot i zgrzyt osuwanego kamienia, zaś same szpikulce wbiły się głęboko w marmur, tak, iż widać było tylko ich końce.

Dyszcząca z wysiłku Ewelina, odeszła od drzwi z wyraźnie zadowolonym zuchwałym wyrazem twarzy. Z uznaniem przyglądała się zapadającym w szczelinę marmurowym drzwiom, powolnie odsłaniającymi niewielką, marmurową komnatę rozjaśnianą migającym, bladym światłem. Weszła do środka. Źródła migotliwego światła nie można było zidentyfikować i wręcz zdawało się, że takiego owego nie ma, a marmurowe ściany zaś migotały i falowały niczym wzburzone morze. Przed nią stał obsydianowy ołtarz, z szerokim wyżłobieniem przypominającym misę. Na widok pustego ołtarza, mina Eweliny zrzedła i prędko przybrała wyraz pełny rozczarowania.

- No to rzeczywiście jesteście w ciemnej rzyci, moi drodzy wieśniacy.

### III

Rzekomy upiór zdawał się unikać konfrontacji. Strach, bądź kpina i gra. Co do drugiego miała wątpliwości, biorąc pod uwagę, że upiorom z reguły książkowej



brakowało umiejętności przejawiania zaawansowanych emocji, bądź myśli. Dalej jednak nie skreślała możliwości nawiedzenia przez demona, bądź czego innego. Nie udawało jej się zbliżyć do owej istoty. Za każdym razem zdawała się oddalać, zapadając w niższe piętra, bądź ściany. Zaczęło docierać do jej myśli, że jednak niepotrzebnie dała popis swoich umiejętności. Zdziało to na tyle dobrze, że istota nie tylko straciła chęć konfliktu z Płomienną, ale też jakkolwiek chęć „kontaktu”. Irytacja zaczynała się pogłębiać. Nie do końca wiedziała co robić. Przyszło jej do głowy, że choćby i zwłok wieśniaków mogłaby poszukać, ale tych nigdzie nie mogła znaleźć. Żadnego śladu. Może je pożarło? Pozostało jej tylko bezcelowe zwiedzanie iglicy, w oczekiwaniu na cokolwiek. Jakkolwiek okazja by zbliżyć się do istoty.

Wlokła się ascetycznym, marmurowym korytarzem, mijając dryfujące w powietrzu, mieniące się srebrem, kinetechniczne rzeźby i wypalone lampy neonowe. Szeptła do siebie, głosem monotonnym, jakby recytowała pisany przez siebie list. -... Urwą ci za to łeb kochana. Dobrze o tym wiesz. Gonisz plotkę jakiegoś wariata, co nawdychał się zbyt wiele mgły i zamierzasz podpaść kretnom z zakonu. Szukaj swoich informacji u Wodników. I tak muszę podwajać łapówki, od kiedy wielki świr Parhum dostał się do rady Trybunalskiej. Nie podpadaj zakonowi, proszę cię. Czyszczę Iglicę Nieboidalną gdzieś w lasach Północnego Konden. Udam się na Północ, Szpicowus pisał, że znalazł dobrą robotę w Iwaniu. Znajdź mnie, bo się wytęskniłam. Wyczuwam, że oddalasz się od naszej ukochanej Męczenniczki. Wiem, że trudno dzisiaj wierzyć w bogów, ale proszę, udzielaj jej swej łaski, chociaż ze względu na mnie. Ty potrafisz wytrwać, a mi jest coraz z tym trudniej, a ktoś musi przy niej zostać, gdybym ja przepadła - skończyła. Przez oczy przemknęła fala niebieskiego płomienia. Wiadomość została wysłana. Westchnęła ciężko i oparła dłonie o biodra. Stała tak, beznamiętnie wpatrując szklistymi oczyma w korytarz rozwidlający się przed nią. Ruszyła prawą, prowadzącą w dół odnogą.

Spostrzegła, że znajduje się już na poziomie podziemnym, gdyż wykonanie korytarza uległo znacznej zmianie. Tanie, drewniane i spróchniałe ściany, mnóstwo niewielkich komnat, posiadających pojedyncze meble, korytarze wychodzące poza budowlane granice na powierzchni, zamiast ku środkowi wieży. Brak jakichkolwiek drogocennych rzeźb kinetechnicznych i fresków. Poziom iglicy, gdzie znajdowały się komnaty służby, magazyny, więzienia. Wszystko co taki arystokrata nie miałby ochoty na co dzień widywać.

Ewelina szybko została przekonana o słuszności wyboru drogi, gdyż nagle usłyszała znajomy wicher i odgłosy ostrożnych, nagich stóp, drepczących po drewnianej posadzce." Czyli jesteś jako tako materialny. No ciekawe.". Dźwięk zbliżał się i sprawiał wrażenie, jakby istota znajdowała się tuż za drewnianą ścianą. Towarzyszyła jej. Płomienną zdecydowanie to zaskoczyło, lecz zachowała pozorną nieświadomość. Szli obok siebie jakiś czas. Ewelina zauważyła doskonałą okazję do zbliżenia się do ściany. Podest z marmurowym wizerunkiem chorobliwie chudego skrzata. Widok ten był na tyle niecodzienny,

że umożliwił Makowłosej podejście i udanie zainteresowania owym wybrykiem bez wzbudzania podejrzeń. Brak rozwiniętych mięśni, cienka skóra kryjąca pod sobą kości. Pomyślałaby, że człowiek, gdyby nie charakterystyczna dla skrzatów niebiańskich kwadratowa twarz i zwisająca z niej broda przypominająca paznokcia. No i oczywiście kozie różki. Skrzaty nawet wygłodzone, nie mogły osiągnąć takiej sylwetki, gdyż nigdy nie traciły swej masy mięśniowej, bądź grubości skóry u kobiet, gdzie zależnie od płci, mięśnie u mężczyzn, grubość skóry u kobiet, nigdy nie przestawały rozrastać dopóki otrzymywały swe substancje odżywcze. Ten skrzat natomiast wyglądał na starego, więc powinien przypominać zwałistą górę mięśni. Sugerowali się sylwetką zagłodzonych ludzi?

Ruszyła dalej, trzymając bardzo blisko ściany. Słyszała istotę dokładnie i mogła określić parę jej poszczególnych cech. Nacisk stóp na posadzkę za ścianą niewielki, toteż niewielka waga. Podmuchy eterycznego powietrza stały się wyraźne, pozwalając najemniczce zlokalizować źródło dźwięków identyfikując domniemany wzrost około pięciu stóp. Nie oddychało. Czasem się schylało, co świadczyło, że posiada jeszcze instynkty unikania przeszkód. Kątem oka udało się Ewelinie podpatrzeć szparę w ścianie, pozwalając przyjrzeć istocie na sekundę. Przyuważyła przezroczystą, bladą i sękatą szyję. Humanoidalne. Szli koło siebie jeszcze przez chwilę, gdy nagle Ewelina uderzyła jarzącą się dłonią w próchno ściany, roztrzaskując ją w eksplozji trocin i odłamków drewna, chwyciła Upiora i szarpnęła nim błyskawicznie do siebie. Z towarzyszącym temu wybuchowi wiórów oraz panicznym, upiornym krzykiem, ze ściany wyleciała, ciągnięta za rękę na wpół przezroczysta sylwetka dziewczyny ubrana w długą, podartą, białą, suknię i wiankiem na głowie. Ewelina na skutek zaskoczenia puściła widmo, które z zaskakująco materialnym huknięciem opadło na drewnianą posadzkę.

- Nie krz... Nie krzywdź! - pisnęła dziewczyna cienkim, eterycznym głosikiem, doniosłe przy tym kaszląc. Twarz mimo trupo-bladej cery, zapadniętych, poszarpanych policzków, prześwitujących przez wargi zębów i ciemnych niczym węgiel oczów, zdawała się zachować kształt i urok nie do końca dojrzałej, młodej dziewczyny. Może z szesnaście lat. Rumiankowy wianek osadzony na długich, rzadkich włosach koloru słomy, promieniał bladym, słonecznym światłem. Poszarpaną, śnieżną suknię ducha charakteryzowała obfita plama zaschłej krwi na długości całego, chudego torsu. Natomiast wokół samej postaci istoty krążyły dziesiątki miniaturowych świetlisto-przezroczystych skowronków wielkości pyłku.

- Tyś żaden upiór - wydukała kompletnie zdumiona Płomienna. - Żaden upiór tylko Demon. Południca!

- A żebyś wiedziała, że Południca – jęknął płaczącym tonem demon. Powstając niezgrabnie z podłogi, otrzepując się z kurzu..

- Co do... Co ty do cholery robisz w tej wieży? - niemal z klaśnięciem położyła dłoń na czole, powoli je rozmasowując. Na jej twarzy zaczynał się tlić zdumiony uśmiech.

- Żyję tu! Co, nie wolno mi!? Żyję tu, odkąd pamiętam! To powód by mnie przez ściany ciągnąć?! - kaszlnęła. Ewelina zachichotała cicho.

- Nie trzeba było robić takich podchodów- odetchnęła. - Sławy śmierć, jak ja dawno żadnej z was nie widziałam.

- Że co? - powiedziała lekko zbulwersowanym tonem, unosząc się lekko nad podłogą. Powietrze szumiało wokół niej złowrogim świstem.

- Czemuś kochanie nie na polu? Chłopów nie bronisz przed udarami? - pogodnie kontynuowała, niezrażona upiornym wiatrem, Ewelina.

- Nie... Ja, nie pamiętam... Czego tu szukasz?! Gdzie są Panowie?! - wydała z siebie upiorny warkot.

- Cóż, lokalne chłopstwo kazało wypędzić to, co mordnęło im paru współplemieńców. Ale na razie chcę korzystać z okazji i pogadać sobie z jedną z was. Co do „Panów” to prawdopodobnie chodzi ci o tutejszych skrzatów, na co ci po prostu nie potrafię odpowiedzieć.

- Ja... Zabiłam kogoś? Nie... Pamiętam - dłonie zaczęły jej drżeć. - Pamiętam... Obudziłam się. Ciemno. Nigdzie nie było panów. Nikt nie przeżył. Ktoś wtargnął do naszej wieży...

- Uspokój się - Ewelina chwyciła jej nieprzyjemnie zimną dłoń. Południca spojrzała jej prosto w oczy. - Opowiesz mi powolutku, po kolei. Nie zamierzam cię zabijać, ni przeganiać, ni w ogóle robić krzywdy. Pal licha czy to byłaś ty. Obiecuję ci, ale muszę się dowiedzieć, co tu się stało, dobrze? - puściła oko w szczerym uśmiechu. Południca gapiła się na nią kompletnie zdezorientowana. - Widziałaś jakieś ciała?

- T-trzy, leżały na podłodze, patrzyły pustymi śliepiątkami. Wy-wyglądały brzydko, więc pomyślałam, że i Panom byłoby smutno gdyby wrócili i je znaleźli, więc zaniosałam je do schowka, by spalić, ale zaniosałam i znowu ciemno...

- Zaprowadzisz mnie do nich? - zapytała cierpliwie Ewelina.

- T-tak. Trzeba je spalić, zanim Panowie wrócą. Pomóż mi! Tędy, tędy! - Zarzuciła całym swoim ciałem w powietrze i pofrunęła na przelaj korytarza. Zaglądnęła za Ewelina, która ku jej niezrozumieniu stała w miejscu z rękoma założonymi za plecami. - Nie idziesz?

- Nie musimy się spieszyć. Mamy sporo czasu. - Południca chciała coś powiedzieć, ale Ewelina podłapała i kontynuowała. - Nie sędzę również, by „Panowie” dzisiaj się pojawili, więc i ty się nie musisz spieszyć.

- Aa. Aha - dygnęła głową na znak zrozumienia. - Zapomniałam, że mnie widzisz. Fajnie - na wysuszonej twarzy demonicy wypłynął ledwo widoczny uśmiezek. Po chwili znów sobą rzuciła i poleciała w stronę Eweliny, kręcąc spirale wokół niej, aż w końcu stanęła tuż obok Płomiennej. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Tam- wskazała ręką wzdłuż korytarza.

- No. Już o wiele lepiej. - Parsknęła ciepłym śmiechem Ewelina. - No. To zaczynamy. Jak cię zwą kochana?

- Zwali mnie Palynrą Gwanią chyba? Tak, to było moje imię... Dawno nikt nie pytał.

- Aaa, obywatelka dawnej Satrapii Pelomskiej. Miłe spotkanie. Mnie zwą Ewelina Harquin. Bądź Ewa, jakbyś chciała.

- Ewelina? Że co to niby za imię ma być? Po co krzyżować mewę i linę, jeszcze by zabrać mewie M? Mewę ktoś chciał upokorzyć? I po co lina? Z Mewami na spacer się przecież nie chodzi.

- Co? - Ewelina zaśmiała się z zakłopotaniem. - Nie, nie. Skądże. Ojciec swego czasu interesował się historią południowych starych ludów i sklecił te imię z jakiegoś języka południowców.

- A jakie mają być te słowa?

- Nadzieja, słońce i gwiazdy. Konkretnych słów języka nie pamiętam, ale utrwaliły swe znaczenie.

- Pasuje - uśmiechnął się demon. - Tak ładnie twe ciało śpiewa. Tak miło być blisko. Moje... Ja nie wiem, co moje ma znaczyć. Może znasz znaczenie mojego imienia?

- Niestety, nie za bardzo. Coś o jabłoni i życiu. Jakoś nigdy nie przyszło mi studiowanie języków Namanckich, wybacz.

- Ojej. Cóż pewnie i tak nic nie znaczy, skoro nikt, nigdy nie opowiedział mi jakie jest jego znaczenie.

- Co robisz w Iglicy, zamiast biegać po polach?

Demonica zafrasowała się. Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała.



- Zawsze tu mieszkałam z Panami... Chyba – myślała przez chwilę. - Pamiętam... Papcio chciał, bym wyszła za Poma, to się zgodziłam, bo lubiłam Poma. Ah, Pom. Jaki słodziak. Szliśmy polami i głośno krzyczeliśmy. Nie wiem po co. Przecież byliśmy sami. Ah, nie rozumiałam Poma. A potem się przewróciłam i uderzyłam o kamień. A może to Pom mnie przewrócił? Albo to nie był kamień? Nie pamiętam... Wszędzie mgła w głowie. Potem krążyłam po polach. Ale pola były straszne. Strzygi, Licha, Głagołaki. Potem był pięćkny rycerz w pięknej srebrnej zbroi i skrzydłach jak u gołębia. Ale taki niski jakiś. Nie widział mnie, a ja poleciałam za nim, bo chyba mi się podobał. Trafiłam tu i zamieszkałam z panami. Tu nie ma Strzyg, Lich ani Głagołaków. Tylko panowie. Ale oni mnie nie widzieli, a ja jakoś nie mogłam wyjść nigdy.

- Jesteś tu uwięziona?

- Nie wiem. Ściany jakieś takie parzące i bolące były, a tu miło było też, więc zostałam.

- Może jest tu jakaś osłona magiczna?

- Zapytałabym się panów, ale oni mnie nie widzieli - zasmuciła się

- W końcu objawiasz nam się tylko w słońcu.

- Ale ty mnie teraz widzisz. Ukradłaś otaczające cię światło i muzykę słońcu?

- Nie ukradłam i widzę cię, bo mogę. Jestem magiczna i moje ślepie widzą magiczne byty, takie jak ty. Zresztą, uaktywniłaś się, teraz każdy może cię zobaczyć.

- Aaaaaaa, miło. Panowie nie byli magiczni?

- Byli Nieboidami tak? Skrzydlatymi skrzatami?

- Ta.

- To nie byli magiczni.

- Ale potrafili latać, przecież tylko ptaki latają.

- Są też nietoperze i robaki. I choć mogę się wyłącznie domyślać, jak mogli się unieść i szybować swoimi grubymi cielskami, to jednak nie były to istoty magiczne.

- A szkoda - spochmurniał demon.

Znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu będącym częścią przemierzanego korytarza. Środek komnaty pokrywał kwadratowy podest wykonany z granitu. Widniały na nim freski z wizerunkami sylwetek wychudłych mężczyzn, tym razem ludzi, klęczących i błagających przed odzianym w szatę i potworną maskę przypominającą upiornego gołębia, skrzatę. Przy bocznych ścianach wisiało w powietrzu osiem, symetrycznie rozłożonych, marmurowych kolumn, z kryształowymi kulami umocowanymi zarówno na dolnym jak i górnym wierzchołku.

- Cęła kinetechiczna? - zmieniła temat Ewelina. - Zeszliśmy do lochów?

- O. Mówisz o filarach? Kazano tu wisieć niegrzecznym sługom. Nie wiem czemu ich nikt nie karmił, ani wody dawał, więc musiałam to robić sama. I to nie są nasze kwatery, nie wiem, o co ci chodzi. - Mina Eweliny skwaśniała, ale machnęła lekceważąco ręką. Południca rozmyślała. - Czemu wcześniej powiedziałaś „dawnej Satrapii Pelomskiej”? Już jej nie ma? Nazwę Zmienili?

- Rozpadła się. Dawno. Potem Elfy podbiły i zniewoliły to, co zostało i starało się odbudować.

- Elfy? Co to są Elfy?

- Światło Światoboga, dawno się zamieniła.

- Nie pamiętam - nadała się Południca.

- Cóż, w każdym razie Elfy, to lud powstały na skutek czarów dawnego, złego czarodzieja, który w swej żądzy zdobycia wielkiej mocy, zniewolił grupę wiernych mu ludzi i dzięki okrutnym czarom i torturom, wykreował z nich stworzenia, silniejsze, bystrzejsze i ładniejsze od normalnego ludzina... Z wyjątkiem kobiet, za co można dziękować wiecznie zazdrosnej żonie Czarodzieja. Tylko po to, by ich oczarować zaklęciem, by kierujący ich rękoma Czarodziej mógł się dopuszczać niewymawialnych okropieństw.

- O, co się z nimi stało? - demon wpatrywał się swoimi pustymi oczodołami, z oczekiwaniem.

- Czarodziej pewnego dnia zmarł. Czar puścił, a Elfy postanowiły, że będą od tamtego dnia nienawidzić ludzi. Minęły setki lat, mieszały się z nami, przejmowały, budowały swą siłę, aż w końcu... - ton Eweliny objęło rozgoryczenie. - W końcu się wspólnie zgromadziły, poszły na wojnę i wybiły większość z nas. Po dwustu latach zdecydowały się poprawić swój wynik i wyrząść lub zniewolić to, co zostało.

- J-jak to? Nie ma już ludzi? - rozdziawiła lekko usta.

- Mhm. Nie ma.

- Ale ty jesteś. Jesteś człowiekiem tak?

- Jestem. Jedyna od paruset lat! - krzyknęła z udanym rozweseleniem.

- Ojej. Dlatego twe uszy tak iskrzą? Musisz się ukrywać - bardziej stwierdziła niż zapytała.

- Nie, nie muszę... - zaśmiała się szczerze. - Po prostu wygodniej jest tak wyglądać. Nie rozmawiajmy na razie o tym. Poprowadź mnie do tych ciał.

- Dobrze...

Dotarli w końcu do skrzyżowania czterech korytarzy. Po środku znajdowało się pomieszczenie z klatką schodową wiodącą jednocześnie na górne i dolne poziomy Iglicy. Południca zakołysała się w powietrzu.

- Za schodami - naprowadziła podekscytowana. Po drugiej stronie, rzeczywiście znajdowały się zastawione niewielką, wystawną hebanową komodą, drzwi.

- To tam! - Pokazała dłonią Południca.

- Po co ta komoda? - Ewelina spojrzała podejrzliwie na Palynrę. Ta zachichotała.

- Przecież, jakby co, to nie można im pozwolić od tak chodzić po wieży panów. Panowie by się wściekli! Taka stara, a nierozważna.

Płomienna prychnęła, po czym stanęła obok komody i potężnym kopnięciem odepchnęła ją od drzwi. Ta pokoziołkowała i rozbiła się w drzazgi o ścianę.

- Ale to przecież komoda Panów! Ojej! bardzo się zdenerwują. Tak nie można!

- Coś mi się wydaje, że za bardzo nie potrzebują już tego mebla. - Makowłosa otrzepała buta z kurzu i otworzyła schowek. Uderzyła ją fala smrodu rozkładających się zwłok, poczuła jak obok stóp przebiegają szczury. Ujrzała trzy leżące jedno na drugim wysuszone do kości trupy. Ciała były poszarpane, brakowało im palców, włosów, a nawet ubrań

- Kiedy ty to zamierzałaś skremować? - skrzywiła się z odrazą Ewelina.

- Jakiś czas temu... Ale nie pamiętałam.

- Zdecydowanie wyglądają jak po spotkaniu z pustynią.

- Nie zabiłam ich. Przysięgam, ja ich nie pamiętam! Nie wiem, już sama nie wiem. Co się mi stało? - Demon łkał.
- Nie płacz. Mówiłam, że nie zrobię ci krzywdy. Dowiemy się, co się stało, a potem postaramy sobie pomóc, dobrze?
- Ale... Co jeśli ich zabiłam? Przecież trzeba będzie mnie ukarać - Ewelina zamknęła drzwi z widoczną ulgą na twarzy.
- Niczego nie przesądzaj, ani się nie martw. Byłaś tu, kiedy otworzono iglicę parę tygodni temu?
- Ja... Pamiętam. Wtedy się obudziłam - przez twarz południcy przeszedł cień lęku.
- No to mi opowiesz, ale najpierw trzeba coś z tym zrobić. Jesteśmy w piwnicy. Panowie trzymali tu gdzieś ormodron?
- Znaczy... - zawahała się. - Znaczy latająca taczka? - Ewelina skinęła głową. - Tak, tak. Pokój obok. O tu! - Zerwawszy się, wleciała pośpiesznie przez drzwi w prawej odnodze skrzyżowania. Ewelina pokręciła głową, po czym ruszyła za demonicą. Znalazła się w skromnym składzie wypełnionym cudacznymi narzędziami, większość była nietypowych kształtów oraz niewiadomych na pierwszy rzut oka funkcji. Rozpoznała tylko niektóre. Piktografy, modularny zestaw niewielkich srebrzanach drutów, co można było przestawiać w określone kształty karłowatych liter, by pod wpływem temperatury wybić nimi jakieś słowo, czy kopaty, drągi wokół których z wielką prędkością obracały się cztery trójkątne płyty metalu. Pośrodku kanciapy stała średnich rozmiarów, srebrna, prostokątna wanna z wystającymi z tyłu drągami i szerokim, czarnym niczym węgiel pasem okrążającym wannę.
- O, tu jest! - Podekscytowana południca wskazywała szponiastym palcem wannę.
- Widzę. Jak z energią? Uniesie się?
- Chyba tak... Woziłam nim tych nieszczęsnych.
- Kopał?
- Hm... Tak, jakbym na wściekłym koniu jeździła... Chyba.
- Chyba?
- Nigdy nie ujeżdżałam konia. Tylko żubrze cielaki - odpowiedziała zasmucona.

- Ciekawe, czy Lyrka dałaby się tobie ujechać. W każdym razie nie uniesie się - westchnęła z rozczarowaniem Ewelina, kierując wzrokiem ku regałom. - Może mają... A jest. - Chwyciła z półki czarny, metaliczny cylinder. Obróciła go w palcach, po czym nim potrząsnęła. Gwizdnęła z aprobatą. - Ponad pięćset lat, a magmatyt jeszcze się nie spiaszczył. Ja mam problem z zachowaniem jego formy przez miesiąc. - Podeszła do drągów ormodronu, na których to końcówkach znajdowały się te same cylindry. Kątem oka przyuważała wpatrującą się jej w skupieniu Południcę, śledzącą każdy ruch dłoni Eweliny, jakby usiłowała zapamiętać każdy etap owej procedury. Trzema pewnymi ruchami odkręciła oba cylindry. Nimi również potrząsnęła, z jednego z nich wydobyły się dźwięki pojedynczych kamyków bijących w ścianki cylindra. Druga zaś była pełna szumiącego wewnątrz piachu, sygnalizując zużycie. Odrzuciła zużyty cylinder na bok, po czym wkręciła pozostałe z powrotem do taczki. Okręciła jeszcze raz cylindrami z satysfakcjonującym kliknięciem zatrasku. Wnet krawędzie czarnego pasa rozjarzyły złotym światłem, a taczka uniosła się w powietrzu z krystalicznym dźwiękiem szumu.

- Zamierzasz ich spalić? - zapytała zmieszana demonica.

- Ależ gdzie, wieśniakom trzeba ich oddać. Wywiozę przed wejście i niech chowają. - Chwyciła leżącą obok skórzaną płachtę i wepchnęła ją do wózka. - Przy okazji, zobaczmy ilu z nich zdążyło się już zgromadzić - wyszła z tacją na korytarz.

- Po co ci to wie...

- Im więcej kłapiących głosów, tym większa szansa na to, że ktoś będzie podzegał i namawiał masę do głupich pomysłów. Chociażby wejście do wieży pod pretekstem, że ma się własny plan na uniknięcie potwora, znalezienie ciała lub wsadzenie widel w mą rzyć. Wywożąc zwłoki, przynajmniej można się pozbyć zdesperowanych krewnych. Dla reszty można wystawić pewną scenkę.

- Taką aktorską? - podekscytowana południca wyfrunęła z pomieszczenia.

- Taaaaak. Taką aktorską. W której ty odegrasz główną rolę, rzecz jasna

- Ojej Ojej Ojej! Zawsze marzyłam...

- Nie ekscytuj się tak, braw i widzów nie będzie, za to pełno westchnień i krzyków strasznych.

- Ale, ale... - piskała z podekscytowania. - Będzie to praktyka! Ćwiczenie, początek wielkiej nauki, początek kariery. Świadkowie nieważni, bo w przyszłości będą skandować imię Wielkiej Palynry „Południcy złotych pól”.

- Białych wież - poprawiła Ewelina, szczerząc się w udzielającym jej przyjaznym uśmiechu.

- Południce żyją na polach - parsknęła oburzona demonica.

- To trzeba było żyć na tych polach. Może wymyślimy dla ciebie nową nazwę? „Wieżowica” typ południcy, który z jakiegoś powodu zdecydował się zamieszkać w nieboidzkiej iglicy. - Tamta pokazała Ewelinie język. Stały przed drzwiami komórki. Oczy Płomiennej rozjarzyły się wątlami lazurowymi ognikami, a przed drzwiami wyrosło pole, na wpół przezroczystej błękitnej śpiewającej chórami energii. Otworzyła drzwi. Pole falowało nieruchome w miejscu, podczas gdy odrzwia przeniknęły przez nie bez większego oporu. Działo, gdyż tym razem okropny trupi smród, nie uderzył falą w nozdrza najemniczki. Pole zaczęło się przemieszczać i kurczyć w głąb komórki, aż obejmowało wyłącznie ułożone jedno na drugiej wysuszone mumie.

- Dziwna ta twoja magia - stwierdziła zakłopotana południca. - Przy magii panów nic nie słyhać, a u ciebie piękne dzwoneczki i szумы, i śpiewy, jak zresztą w ogóle w twojej obecności. Czemu tak jest?

- A ja wiem - odpowiedziała obojętnie, bezceremonialnie wrzucając na wózek jedną z mumii. - Naszła mnie boleśnie, gdy byłem dzieckiem. Parędziesiąt lat ją badałam i w skrócie nic się o niej nie dowiedziałam więc zostało mi się tylko poddać i mieć to w rzyci - przerzuciła drugiego trupa. - Niemal każdemu kłątwokracie pękała żyłka, gdy się o tym dowiadywał. „Przecież ta wiedza może okazać się brakującym ogniwem zrozumienia magii mistycznej. Daj mi parę lat z tobą na stole operacyjnym, a poznam to, czego twój ograniczony umysł nie jest w stanie pojąć!” - przedrzeźniając, ułożyła ostatnie ciało, okrywając taczkę wcześniej zabraną płachtą. Południca zaśmiała się. - W sumie kłamię lekko. Wiem czym jest, my to po prostu nazywaliśmy „Muzyką” w moich czasach, ale kiedy to inni leczyli i odprawiali cuda...- spochmurniała. - Cóż, to co ja mam, nie służy do leczenia i odprawiana cudów. Ale mniejsza o to. Schody te na wyższe piętro?

- Nie, te do komina, czy coś. Na górę są inne. W prawo, a może na wpro... Nie. Prawo, a potem rozłoga w lewo. Ale, twe uszy, one się błyszczą i mrowią, jak magia panów. To nie jest ta sama magia prawdaż?

- A znam to i owo z kinetyki. Wystarczająco, by rozedrgać powietrze. Rzucającej rozjarzonymi do czerwoności głazami raczej mnie nie zobaczysz. - Ujęła taczkę i ruszyły.

- A... A ziemiotwórstwo?

- Geomancja? Sama zapomniałam jak to nazywaliśmy. Tyle czasu... Twoi panowie posługiwali się geomancją?

- Pani domowa, czasami tworzyła takie figurki z drewna.
- Gruba? - zapytała z łobuzerskim uśmiechem Płomienna.
- Jak słoń!
- Wiesz co to słoń?
- Pan domu powiesił kiedyś naprzeciw łoża portret słonia, by pani mogła go widzieć jak co dnia się budziła. Czasami pan mówił. „Na widzięks kochanas. Patrzem czasem na to i tęsknia, gdyś było żer taka chuda.". Pani w końcu się odegrała i wywiesiła tuż obok portret goryla.
- Urocza parka.
- Śmieszni byli. Dniami potrafili rzucać się krzesłami ze złością, tylko po to, by szeptać obrzydliwości słodkie na wieczór. Syn za to był zły. Nie pozwalał innym być śmiesznymi - udała dramatyczne westchnienie. - To umiesz tę Gao...Geomację?

Ewelina wyciągnęła ramię do przodu, po czym wykonała niewielki gest dłonią drugiej ręki. Na przedramieniu zaczęły znikąd materializować się tysiące niewielkich drobinek, zielonej materii, które rosły, łącząc ze sobą, aż w końcu przybrały formę zwykłego, zielonego liścia dębu. Płomienna drgnęła, lekko palcem wskazując na liść, a ten jak na żądanie, z początku zmienił barwę na ceglana, by potem stwardnieć, zamieniając się w niewielką cegiełkę w kształcie liścia dębu. Znów drgnęła palcem, liść tym razem przemienił się w wodo-podobną ciecz i spłynął na podłogę.

- Jaaaacie - zawołała południca z szeroko rozwartymi oczyma. - Pani tylko głupie posążki potrafiła robić.
- Piękne nieprawdaż? - zaśmiała się radośnie Ewelina. - I tak to, co ja potrafię, jest amatorszczyzną w porównaniu do tego, co wyprawiają z tym Rusałki. Elfy zaś...
- Znasz Rusałki?! - przerwała jej podekscytowanym krzykiem demonica.
- Które Rusałki? - chciała się upewnić Ewelina, ciągle chcąc określić rok wcześniejszego życia południcy.
- No Rusałki, te z Jezioroboru.
- Czyli nie wymarłe demony, a rasa stworzona przez Sabrinę Hunajadzka. Pamiętasz Rusałki, ale Elfy już nie?



- Nie - odparła. Ewelina mogłaby przysiąc, iż gdyby była w ludzkiej formie, ta rumieniłaby się od wstydu.

- Wiedza z moich ksiąg rzeczywiście mglista, ale wydaje mi się, że Elfy zostały zrodzone przed Rusalkami. Cóż, znam je od zasiania mojej pamięci. Jedna nawet była przy moim wyjściu z łona. Żebyś widziała ich stolicę – cmoknęła z uznaniem. - Mieniające się wielkimi bursztynowymi oknami, jadeitowe domy stalaktytowe zwisające znad jeziornych łuków stałej wody...

- Chodzi... Chodzi ci o lód?

- O nie kochana. Zastygnięta w czasie woda. Twardsza niż granit. Pół-łuki ze złotego diamentu wyższe od tej iglicy, wielki marmurowy pałac Piastówny i same Rusalki... Zabiorę cię tam kiedyś. Pamiętają i wielbią tam południce.

- Ale Rusalki... Ludzie mówili, że one z nikim od tak... Jesteś Arkonką! - rozwarła w ekscytacji puste oczodoły. - Pochodzisz z Arkony!

- Bystraś. - Odpowiedziała ze szczerym uznaniem.

- I jeszcze te tatuaże na twoim ciele... Ojeju jesteś Żercą! Musisz być żercą tak?

- Tatua... Ską... A no tak - speszona, przypomniała sobie to, co już zdążyła zapomnieć na temat południc czy w ogóle stworów stworzonych z czystych nut magii. Ich optyka nie rozpoznaje części niebędących integralnie zespolonymi z resztą ciała. Widzą tylko prawdziwe Ja, nici magii oplatające istoty tętniące energią życiową, niezależnie czy oddzielają je ubrania, pogoda czy nawet ściany. A tatuaże jej zaś na zawsze będą obecne, wryte rytuałem przystąpienia w samą jej duszę. Ewelina zakłopotana się na myśl, że przez cały ten czas była praktycznie naga w oczach Palynry. Z kolei wrażenie te zastąpiło spostrzeżenie, że mimo umiejętności południcy, Ta ani razu nie zwróciła uwagi na gromadzący się pod iglicą tłum. Czyżby jednak błędnie oceniła zachowanie tutejszych wieśniaków, czy może zagęszczenie magii w owej iglicy jest tak wysokie, że dosłownie zasłania widok poza wieżą? Wróciła myślami do konwersacji.

- Żerczyni z krwi i kości, spod chramu naszej kochanej boskiej męczenniczki, Sławy, co to dla ludzkości ratowania swe życie oddała - uniosła się uroczyście. Przeszli na klatkę schodową wiodącą w górę.

- Ojej ojej! - zawodziła radośnie demonica, przelatując z jednej ściany do drugiej. - Zawsze chciałam odwiedzić Arkonę. To prawda, że każecie swym oseskom nurkować po jeziorach? Domy wdowie biegające na kurzych nogach, wyjadające pierniki? Żerczyni Sławy ściągające do naszego świata Auranów, poprzez wielkie gzie w Noc Świetlikową? Mów, mów, chcę wiedzieć!

Ewelina chwyciła się za głowę w konsternacji. - O gwiazdo moja. To tak kiedyś nas postrzegało Śródlądzie?

- Mówili nam, iż to kraina cudów i dziwactw pełna! Nie wiń mnie za powielanie opowieści - nadąsała się południca.

- Nie winię. Zabawne nawet to nieco.

- To jak tam to wszystko wyglądało?

- Szkoda słów, by ci teraz to opowiadać kochanie, gdyż można i długo i długo i lat mi nie starczy. A tak się składa, że lepiej opowiadać i przy tym też pokazywać. - Ewelina otworzyła dłoń i wśród błękitnych płomieni zmaterializował się płaski, marmurowy kamień, z wydrążonymi krwisto-czerwonymi liniami, runami i swargami go okrążającymi. Południca porwała się i zawisła tuż przed nią, wpatrując w przedmiot z niedowierzaniem.

- Toż to... Toż to Kamień pamięci!

Ewelina wyszczerzyła się w promiennym uśmiechu. - Sporo ich mam, zwłaszcza tych upamiętniających Arkonę. Widziałaś kiedyś mamuty?

- Raz, gdy jakiś mag się na targu pojawił... Też z kamieniem pamięci, chyba ruinami Revedotei się chwalił... Ale chcę je znowu zobaczyć!

- Później - zaśmiała się pogodnie Ewelina. - Pokażę ci mamuty, piękne cerkwie, sobory, wioski z księżycowych drewn, ale najpierw. - Podążyła kamień południcy. - Ten jest pusty. Przydałoby się zapamiętać trochę tej iglicy i naszego spotkania, a zwłaszcza naszego przedstawienia.

- Ojeju... J-jak? - zapytała wyczekująco.

- A zanuć coś ładnego.

- Nie wiem, czy mogę jeszcze ładnie nucić - spojrzała krytycznie na przezroczyście dłonie.

- Na pewno lepiej potrafisz niż ja, spróbuj.

- Ale jak to... No dobra. - Zanuciła przyjemną dla ucha kołysankę. Jak na rozkaz wzory na kamieniu rozjaśniły się krwistym światłem. Ewelina puściła Południcy oko. Ta, zanosząc się pełnym radości śmiechem, zaczęła fruwać i znikać wszędzie za ścianami, przykładając kamień do wszystkiego, co ona uznała za godne zapamiętania.

## IV

Doszły do pomieszczenia prowadzącego na zewnątrz Iglicy. Ewelinę już docierały głosy rozmowy zza murów wieży. Czyli jednak tam byli, a mała zołza ich nie widzi. Albo może nie zwracała uwagi.

- Na zewnątrz są Elfy, powinnaś ich widzieć - zagadnęła południcę.

- Nie widzę, a co? - odpowiedziała unosząc kamień pamięci wysoko w górę, by objął widokiem wyższe piętro.

- Czemu ich nie widzisz? Za jasno w wieży?

- Sama wieża nie... Ale mury Iglicy są takie jaśniutkie. Jakby ukradły słończku swoje światło. Falują i pulsują. Jakby same tu były więzione i chciałyby sobie pójść.

- Dziwne, nie wyczuwam niczego co by... Osz ty cholera - stanęła w osłupieniu nagłego przebłysku myśli, niemal opuszczając taczkę.

- C-coś się stało, że ściany takie są?

- I nie jest to dobre coś - westchnęła ciężko. – Wyjaśnię, gdy wrócę. Odnośnie aktu o którym mówiłam. Wywiozę im teraz te trupy, a ty odlicz do stu. Potrafisz liczyć?

- Pewnie! Co za głupie pytania - fuknęła oburzona.

- Gdy ci powiem, zaczniesz liczyć do stu, a potem zacznij się drzeć tak, jakby ktoś ci kopnął kota. Gniew i zagłada. Najgłośniej jak potrafisz. Dasz radę?

- Ogłuszę nieszczęsnych wieśniaków swymi wołaniami zapomnianej duszy! - uniosła się dramatycznie. Ewelina usilnie starając zachować stoicką twarz, parsknęła chichotem.

- Świetnie, to ja zaraz przyjdę, a ty już licz. A i unieś się na pierwsze piętro, by w razie czego ciebie nie zobaczyli. - Południca porozumiewawczo podygotała głowę.

Płomienna ruszyła w stronę wyjścia. Nie zwróciła wcześniej na to uwagi, ale zdaje się, że ulewa przeminęła. „Szkoda” pomyślała. Przeminięcie deszczu oznaczało w końcu więcej ciekawskich elfów stojących pod iglicą. Nie przypominała sobie, by zamykała wyjściowe wrota, czy nawet słyszała jak się zamykają. Jej obawy okazały się prawdziwe. Po otworzeniu drzwi budowli, jej

oczom ukazał się tłum przynajmniej trzydziestu elfów. Wszystkie rozmowy nagle ucichły na widok wychodzącej z wnętrza legendy taszczącej dziwaczny lewitujący wózek. Wśród nich było pięciu wcześniej spotkanych groźnie wyglądających chłopów. Są i oportuniści. Tłum spoglądał z wyczekiwaniem to na Ewelinę, to na taczkę. W końcu parę kroków od wejścia, usytuowała wózek. Zakręciwszy czarnymi cylindrami, taczka ta osiadła na granitowej ścieżce.

- Musicie ich pochować - rzuciła Ewelina w stronę tłumu. - Teraz. Nie wiem, ile będę potrafiła wytrwać, zanim upiór mnie powali i zwróci się po ciała, a bez pochówku zaś upiór nie odejdzie. - Jedna z kobiet w średnim wieku o mahoniowych włosach odziana w czerwoną szatę, ruszyła ku zwłokom, ukrywając twarz w dłoniach, dychając przy tym spazmatycznie. U jej boku szła szlochająca nastoletnia dziewczyna o krótkich włosach odziana w zieloną, podniszczoną suknię. Coś ukłuło Ewelinę w serce na widok wdowy, ale powstrzymała emocje. Nagle z iglicy wydobył się przeciągły ogłuszający skowyt gniewnego upióra. Tłum zawrzał. Parę osób osunęło się na kolana, zakrywając uszy. Inni zakrzyczeli z przerażeniem. Dwóch poszczególnych pachółków, opuściło kosze wypełnione leśnymi grzybami i uciekło w las. Ewelina opuściła głowę, mrużąc oczy, po czym w gniewnym grymasie, jej ślepią buchnęły płomieniami niebieskiej energii. Ruszyła zdeterminowanym krokiem ku iglicy, dobywając swojej szabli, której ostrze objęło błękitne światło. Pojęła, że cały ten czas grała na zwłokę. Coś tu się wydarzyło. Coś większego niż przebudzenie demona na wyginięciu. Gigantyczne pokłady magii naciskały w murach coś, co musiało być swego rodzaju barierą, a gdy ta padnie... Dotarła do holu.

- No i?! - zawołała do niej opierająca się na balustradzie pierwszego piętra południca.

- Odwróć wzrok – rzuciła pośpiesznie Płomienna.

- Ale...- Zobaczyła tylko szklaną szyszkę wypełnioną niebieskawym prochem, lecącą w stronę balustrady naprzeciwko niej. Odwróciła w porę głowę. Usłyszała tylko huk donośnego gromu i towarzyszący temu rozbłysk bladego-niebieskiego światła rzucającego swym obliczem po ścianach. Odwróciwszy z powrotem, gdy eksplozja ustała, ujrzała pokaźną wyrwę w podłodze i ścianie po przeciwnej stronie pomieszczenia. Z trwogą wyrysowaną na twarzy spojrzała w dół na parter. Po holu walał się gruz. Gdzieś leżały płonące lampy neonowe, a raczej to, co z nich zostało.

- C-co to było?! - wrzasnęła południca, w końcu przełamując swe osłupienie.

- Granat - odpowiedziała szczerząca się w zuchwałym uśmiechu kapłanka.

- A-Ale po coś nim rzuciła?! Owocami się nie rzuca, zwłaszcza tymi, które robią bum! O nie nie, panowie będą wściekli - zajęczała płochliwie demonica.

- A ja myślę - odbiła się z akrobatyczną gracją od jednego z marmurowych głazów, łapiąc krawędzi zniszczonej podłogi i energicznie podciągnęła się na jednej dłoni, wskakując na piętro. - Że nie będą mieli już okazji narzekać - podeszła do południcy.
- M-może... Ale po coś tym rzuciła?
- Dla lepszego efektu moja droga. - Rzuciła zawadiacko.
- Dużo ich tam jest?
- Ilu jest ich teraz, to nie wiem, ale zdaję się, że była niemal cała wioska. Ładnie umiesz wrzeszczeć.
- Co nie? Aż sama siebie nastraszyłam! - zafrasowała się. - I co teraz?
- Cóż. Iglica zdaje się być na granicy, że się tak wyrażę, pieprznienia. Ten granat co teraz rzuciłam... Wybuch przypominałby parę tysięcy takich granatów, gdyby iglicę trafił szlag.
- Ojej, ale to przecież dużo! I jak to moja wieżyczka wybuchnie? Co się stało? - zatroskana Południca wpatrzyła się w ścianę Iglicy, jakby usilnie starała się pojąć skalę nagromadzonej w murach magii.
- Nie czujesz braku czegoś, co przedtem wyczuwałaś intensywnie?
- No, nie czuję tego fajnego drgania i mrowienia, co mnie tak bawiło... S-Serduszko? Ktoś je ukradł. Da się w ogóle?
- Czy się da? Pewnie, wystarczy tylko przełamać tarczę szyfrową. Rozgrzej specyficzne pierwiastki zasilające pole do stanu rozpadu. Każdy w miarę rozgarnięty kinetyk potrafi to zrobić, ale nie. Nie zostało skradzione. Z początku też mi się zdawało, że ktoś je podwędził, co samo w sobie mogłoby przywołać zastęp Szpicogórskich odkrywców, którzy z wioski wyrzeźbiliby krater po-meteorowy.
- Po-meto co?
- Spadającej gwiazdzie.
- Aaaaa. Ale jeżeli go nie zabrali, to co...
- Uległ zniszczeniu - oznajmiła sucho Płomienna. Południca wpatrywała się w niezrozumianym milczeniu. - O ile wiem, Nieboidom zdarzało się od czasu do czasu, że serca iglic nawalały, poprzez jakieś tam wady konstrukcyjne samych serc. Na tyle często się to działo, że budowano specjalne pryzmaty na czubkach

wież, by skupić całą uwolnioną sieć strun magii, i następnie wystrzelić w kierunku samego nieba, skąd słup przenika w wszechstworza i na skutek czystych promieni słonecznych rozładowuje się, nie czyniąc nikomu szkody i wracając w nasz obieg. Prosty mechanizm. Zazwyczaj. Pociągnięcie dźwigni i sprawdzenie czy pryzmat aby na pewno kieruje się ku niebu

- Jest takie coś na szczycie iglicy.

- Przydałoby się wyrządzić jakiś dobry uczynek, wieśniakom. A jeżeli nie im, to przynajmniej zwierzakom zamieszkującym dolinę. Chodźmy zobaczyć, co się da zrobić.

- Dobrze, dobrze. Korytarz w prawo. - Ruszyły w kierunku wąskiego, wyłożonego czarnym dywanem, korytarza. - Ten pryzmat jest chyba cały. Nie wiem. Nudno tam to nie zaglądam.

- To szkło księżycowe. Twardsze niż diament. Od tak nie można byłoby mu zaszkodzić. Tyle, że...

- Tyle, że uważasz, że to ktoś, kto pozbył się serduszka uszkodziłby pryzmat?

- Skąd wiesz? - zawahała się Ewelina

- Widziałam pokoik serduszka. Był cały. Znaczy, że ktoś serduszko ukradł, a potem zniszczył, a ja myślałam z początku, że po prostu przenieśli.

- No tak. Cóż, ktokolwiek je zniszczył... Nie słyszałam jeszcze o nikim, kto by potrafił roztrzaskać strukturę serca. Nawet Ja tego nie potrafię. Powiedziałabym, że Auran albo Planetnik... Nie. Bez sensu, gdyż ktokolwiek to zrobił i zostawił odpad magiczny samemu sobie, musiał zdawać sobie sprawę z tego, że z czasem struny przebiłyby się przez barierę i zamiast jakiejś wioski, zamieniłyby całą dolinę w wypełniony magicznymi anomaliami krater. Bogowce po prostu tego nie robią.

- Ja... Ja chyba wiem kto mógłby to zrobić - orzekła smutnym tonem demonica. Ewelina spojrzała na nią, marszcząc brwi. - Gdy tak na ciebie czekałam i czekałam, to starałam się przypomnieć, co się stało. I przypomniałam sobie.

- Jak dawno?

- Parę godzin przed tym, jak zapadłam w sen, a potem się zbudziłam... I znowu zasnęłam? Chyba. - Wkroczyli w niewielką klatkę schodową wiodącą na górne piętra.

- Co się stało z panami?

- Była noc... I jasno tak jakoś. Paliło się... Poza wieżą. Masa ogni, masa krzyków, masy klątw. Syn był zły wobec jednej ze służek. Niewolił ją. Ona płakała, krzyczała, błagała. Nie mogłam tak tam stać. Rozświetliłam celę, a Syn krzyczał kaleczony. Jak to się wzrok mu spalał. Służka uciekła, chowała się przed strażą. Trzy południa zostawiałam strawę po kątach. Dziękowała, choć mnie nie widziała. Dziwna jakaś. Zsunęła się po bluszczu trzeciej nocy i sobie poszła. A noc po następnej nocy przyszedł tłum. Panowie zaryglowali bramę, nie mieli gdzie biec. Gdzie się chować? Jak się schować, gdy na każdy kąt przypada dwóch chłopów? Był jakiś mag, co wrota otworzył. Albo szamanka. Albo Hierofanta. Sama nie wiem... Ile było krwi – złapała się za głowę, zaczynając cicho łkać. Ewelina chwyciła ją za ramię.

- Nie mów o tym.

- A-ale muszę - jęknęła demonica. - Inaczej historia niepełna. Po co komu niepełna historia?

- Historia nie musi być pełna w szczególności przyprawiające cię o traumę. Bądź dla siebie dobra - skwitowała ciepło kapłanka.

- D-Dobrze - smarknęła z udzielającym się jej bladym uśmiechem. - Panowie... Nie wybronili się. Pułapki. Kinetyka. Nic. Chłopstwa było za dużo. Każdy chcący po pięć głów panów za każdego pojmanego sługę. Uciekałam za panią, która biegła do serduszka. Tam dotknęła serduszka i... I zniknęła w popiele. A potem był blask i... ciemność. Śniłam chyba, ale nie pamiętam o czym.

- Gdy się obudziłaś... Było jeszcze serce? - Wyszli na piętro z ozłoconymi marmurowymi ścianami, z przylegającymi do nich hebanowymi regałami wypełnionymi granitowymi tablicami. Zdecydowanie byli w bibliotece

- O tak, tak! Serduszko latało nad ołtarzem. Wibrowało i w ogóle. Jakbym tylko przytknęła oczy na parę sekund... Ale wiem, że to było dłużej. Nigdzie nie było panów ni chłopów, ni ich ciał. Za to pełno kurzu i pajęczyn z pajakami. Fúj obrzydlistwa, Zdenerwowałam się I chciałam polecieć do piwnicy po miotłę...

- I wtedy ktoś się zjawił.

- T-tak... Ewuś. On był straszny. Wielki... Na siedem stóp przynajmniej stał i rozglądał się na środku holu. Ale... Ja go nie widziałam normalnie. Dla mnie wszyscy jesteście tacy jaśniutcy i w ogóle. Ale on. Cień. Cień wypełniony czerwonymi chmurami i złymi czerwonymi gwiazdkami, a między nimi... Niekończąca się pustka - znowu zaczęła szlochać. - On. On był taki straszny. Czułam jak wylewa się wokół niego aura wszystkiego, co najgorsze... Nienawiść, pogarda, złość. Ja schowałam się w ścianie, ale on spojrzał na mnie plamami najgorszej zieleni. A potem zn... Nie usnęłam... Nie pamiętam, ale to nie był sen. Wszystko było takie czerwone, a ja się bałam i nienawidziłam, nie wiedziałam,



gdzie jestem... co robię... A potem byłaś ty - przyglądała się swoim dłoniom w trwodze. Ewelina westchnęła ciężko. - Ja... Skrzywdziłam tych panów tak? To ja ich zabiłam? - Żerczyni przytaknęła z rezygnacją głową. - Jeju. Ja nie wiem... Nie chciałam. Ty się znasz! Co się ze mną stało? - zanosila się łęklwym płaczem w głosie.

- Nic, czemuś mogłabyś zaradzić - ujęła południcę za barki. Ta spojrzala na Płomienną w rozpaczliwym zakłopotaniu. - Nie wiem czym był ten stwór, ale zawiadnął tobą i się posłużył.

- Ale ja ich zabiłam...

- Nie miałaś nad sobą kontroli. To nie byłaś ty, rozumiesz? Nie musisz sobie tego brać na sumienie – przyciągnęła do siebie południcę, wtulając się w nią. - Nie musisz się bać, że to nastąpi ponownie.

- Ale ci wieśniacy... Oni...

- Gdybyś nie była w amoku, to oni zabiliby ciebie.

- Ale co ja im... Czemu? - obruszyła się wystraszonym tonem południca.

- Później ci opowiem.

Południca wyzwoliła się z uścisku Eweliny, na jej twarzy wyraźnie pojawił się grymas irytacji.

- Ciągle mówisz kiedyś i później. Czemu tak mówisz, po co? Gdy wykona...

- Zabiorę cię ze sobą - przerwała jej Ewelina spokojnym tonem.

- Zabierzesz mnie... Ale jak to... Po coś miałabyś mnie gdzieś zabierać i gdzie?

- Do mego domu. Z dala od tego świata, od tej wieży. Gdzie będziesz mogła biegać swobodnie po lasach i polach. Gdzie nikt życia swego nie będzie poświęcał, bo religia obiecuje zbawienie za morderstwo ciebie. Gdzie istoty będą się cieszyły na twój widok, a nie przyglądały z grozą. Do mnie, do nowej rodziny, do pięknego świata, który sama stworzyłam i chcę się podzielić z kimś takim jak ty.

- Świat poza więżą? Poza Panami? Ja nigdy o tym nie myślałam. Nie mogłam, przecież chyba mnie tu więżą - zadumała się południca.

- Czar powinien prysnąć, gdy pozbędziemy się energii. Potem wyruszymy, bądź pokieruję ciebie do Ostoi, mego domu. Tam będziemy mogły się wymieniać

opowiastkami. Postaram się, byś mogła napić się kubka księżycowej czekolady. Odtrupimy trochę twarz, byś znowu była ładniutka.

- Ładniutka - pociągnęła kościstą dłonią po swych wyschłych, wklęsłych policzkach. Przez jej twarz przebiegł tęskny wyraz. - A chłopaka jakiegoś tam bym mogła spotkać? - Ewelina parsknęła radosnym śmiechem.

## V

- Nie, nie wypadła! - prawiała doniośle Ewelina, śmiejąc się przy tym.

- Ale byłam ładniutka! - wyłoniła się ze ściany obok Południca, ciągle manewrując kamieniem pamięci. Weszły do niewielkiego pomieszczenia wypełnionego stołami z płaskiego marmuru. Gdzieś tam stały pod ścianą połączane podesty z kinetecznymi figurami, a na środku podłogi, niewielki na dwie stopy szyb prowadzący w dół iglicy. Pomieszczenie zdawało się znajdować na szczycie budowli, gdyż poza klatką schodową z której dopiero wyszły nie znajdowały się już drzwi prowadzące do innych pomieszczeń, czy nawet korytarzy. Ewelina podeszła do marmurowej balustrady oddzielającej szyb od reszty piętra. Oparła o boki i spojrzała ku południcy.

- To był mnich biedulo! - rzuciła. - Do mnichów się tak nie zaleca, w ogóle do nikogo się tak nie zaleca!

- Ale Baanka mówiła, że to zawsze działa!

- A ta „Baanka” przypadkiem za często do stodoły z chłopami nie chadzała?

- Chodziła, ale to o niczym nie świadczy! Miri był fajny i przystojny, a ja byłam ładniutka więc...

- Ciekawe ile wioskowych potem mówiło, o twoich „podbojach miłosnych” osób duchownych.

- Myślisz, że wielu? - udała zmartwienie demonica.

- Cały boży stan Pelomski! - rzuciła Płomienna wymownie z równie udaną kpina.

- Ale ja nie byłam tak ważna, by o mnie wiedzieli - rzekła nadąsana południca.

- Jak mówisz, że taka ładna to pewnie i cały stan - parsknęła śmiechem Ewelina. Odetchnęła głęboko. - To gdzieś tu?

- Ta jest! Teraz stół... Stół, stół, stół, który to był stół? - Zanurzyła się w posadzce, tak że tylko głowa wystawała ponad podłogą. Sunęła po jej powierzchni między stołami, spoglądając na spody marmurowych blatów. W końcu zatrzymała się pod jednym z nich. - Ooo tu! - Sięgnęła dłonią, coś naciskając. Z sufitu wydobył się rytmiczny, mechaniczny klekot i dźwięk ocierających o siebie gładów. Po chwili ze środka sufitu otworzył się powoli niewielki krąg, odpowiadający swoim rozmiarem znajdującemu się pod nim szybowi. Prowadził on do kolejnego pomieszczenia.

- Oczywiście, że nie ma schodów - syknęła Ewelina. - Potrafiłabyś sama to obsłużyć?

- Nie - jęknęła zawadzając Palynra, pojawiając się obok Płomiennej. - Dźwignia jakaś taka dziwna, strasznie parzy czymś czarnym. Nie było tego wcześniej.

- Ogryt - potrząsnęła głową. - Cóż...- Odeszła na parę kroków, by po chwili wskoczyć z biegu na balustradę i się od niej odbić, łapiąc za krawędź otworu prowadzącego na górę. Podciągnęła i wdrapała się do środka. Zlustrowała komnatę. Prosto wykonane ściany z granitu, gdzie przy jednej z nich, znajdowała się dźwignia pokryta czarną, pochłaniającą wszelkie światło, mazią. Nisko zawieszony nad jej głową, sufit stanowił srebrzysty, jarzący się odbijanym światłem Eweliny kryształ. Spojrzała w dół na Południcę.

- Nie wchodzisz? - zawołała do demona.

- Nie... Głowa mi boli i szumi jak tam jestem.

- Mnie też - spojrzała do góry, dotykając kryształu. - Zdaje się w normie.

- To pociągnij! - Ewelina skierowała wymownie swój wzrok na dźwignię.

- A posprzątasz po mnie? - prychnęła Płomienna słabnącym chrypliwym głosem. Nie czekała na odpowiedź. Podeszła i chwyciła za czarną dźwignię. Nagle światło promieniujące z jej osoby zgasło i pokój objęła ciemność. Poczowała kwasy szalejące w żołądku, gotujące się do wymiotów. Przełożyła dźwignię i natychmiastowo ją puściła, opadając na kolana. Światło powróciło. Szybko wstała na nogi i nierównym krokiem podeszła do otworu w podłodze, by z niego się z kolei osunąć i wskoczyć na niższy poziom. Usiadła na stole koło południcy. Ciężko dysząc, łapała się to za gardło lub ocierała usta. Aż w końcu bąknęła chrapliwie połykając ślinę.

- Chyba przeszło...

- Aż takie to ciężkie było?

- Dziesięć grzywien tego świństwa. Na dźwigni i podłodze. Może trochę więcej. Zamknij ten sufit jak możesz.

Południca potaknęła posłusznie głową i poleciała coś przycisnąć do wcześniej wybranego przez nią stołu. Rozległ się skowyt płyt i sufit znów był płaską jednością.

- Teraz tylko czekać. Szkoda, że nie zobaczymy fajerwerków - rzuciła obojętnie kapłanka.

- Ależ łaadneee.

- No tak. Ja nie zobaczę fajerwerków - burknęła z rezygnacją. Południca podfrunęła ku niej i usiadła obok.

- Jak to fajnie świeci i błyszczy i faluje, jeju i te motylki.

Ewelina parsknęła pół śmiechem. Po chwili Iglicą zawładnęły drgawki oraz natężające się buczenie i syczenie wędrującej energii. Aż w końcu wydobył się głośny grzmot sygnalizujący wystrzelenie gromadzonej energii w niebo.

- Ojeeeeeeeej - zawoła zachwycona południca stając na stole i wpatrując ku sufitowi. Ewelina położyła się plecami na blacie. Widząc to, demonica usiadła tuż obok niej.

- Polubię tę Ostoję? - zapytała Plomienną.

- Mhm - oznajmiła marzycielsko najemniczka.

- Będę miała tam z kim rozmwiać?

- Nie byle z kim. Latawice...

- Nie gadaj! Serio?

- Siostry. Polubią cię. Poza tym: Bannik, Dworowy, czasem odwiedza mnie Auran i inni goście. Sama tam nie będziesz. Co do Ostoji... Będziesz musiała zobaczyć na własne oczy. Gdy tam będziemy... Mam taką jedną księgę, co to będę mogła ci pokazać.

- Księgę? Pewnie masz ich tam dużo do poczytania.

- Tak, ale nie koniecznie o to mi chodzi - zaśmiała się słabo. Wskazała na trzymany w dłoni demona kamień. - Bardzo prymitywne, w porównaniu do tego, co kiedyś potrafili robić.

- Nie rozumiem.

- Możesz widzieć tylko obrazy zapamiętane z konkretnej pozycji. Księga jest jak ten kamień, tyle że potrafi ciebie przenieść do zapamiętywanych miejsc. Chodzić po nich, wachać kwiaty, moczyć się w wodzie. Odkrywać... - rozmarzyła się.

- Brzmi pięknie. To co ta twoja księga pamięta?

- Odbudowę Revedotei moja kochana.

- To... To po zakończeniu Epoki Czarnego Słońca! Śmierci Sławy i w ogóle. Ojeju jak to dawno musiało być

- Mhm.

- I... I jak tam jest? - podniosła się i nachyliła nieco nad Ewelinę, by lepiej się wsłuchać. Ziejące pustką oczodoły, trupia wysuszona twarz. Płomienna zachichotała w myślach na wyobrażenie reakcji normalnego elfa, w tej samej sytuacji.

- Słowa nie potrafią w pełni tego ująć. Rozległe, złociste pola, po których pełne szczęścia dzieci ganiały się z takimi południcami jak ty. Ludzie w białych, wiecznie czystych szatach z nadzieją w sercach stawiający na nowo swe piękne kolorowe wioski. Nieubolewający nad stratą ich kochanej bogini opiekunki i podążający jej naukami i intencjami, cieszyć się z możliwości odbudowy świata. Przygotowania go dla powracających dusz. Svarydy leniwie wędrujące po niebie...

- Svarydy?

- Nie widziałas u siebie Svarydów?

- Nie - nadąsała się.

- Takie statki powietrzne przypominające cerkwie. Oni jeszcze wiedzieli jak takowe konstruować, w przeciwieństwie do nas, gdy tę parę pozostałych potrafiliśmy co najwyżej konserwować. Wilkołaki broniące lasów świętych. Chciałaś zobaczyć mamuty? Nasze były malutkie w porównaniu do tych z czasów Revedotei, gdzie budowano na nich domy - wyciągnęła się. - Piękne czasy, pięknych ludzi o pięknych duszach. Mogłabym na zawsze rozpamiętywać, gdyby moje wierne latawice, mnie od tego losu nie ratowały.

Szepnęła, usilnie tłumiąc wydostającą się na jej twarz tęsknotę. Zmrużyła powieki, Południca nie odpowiedziała, tylko również się położyła, marząc i kontemplując to, co usłyszała. Po chwili było już po wszystkim. Sploty magii w

całości ulotniły się z wieży, a tą wypełniło odbijające się od ścian symfoniczne echo anielskiego zawodzenia.

- Czemu taka jesteś? - zagadnęła Południca.

- Przepraszam? - obruszyła się Płomienna.

- Jesteś Żercą... Hm... Kapłanką. Tymczasem oszukujesz, klątwami rzucasz, nie prawisz o swych bogach, nie modlisz się... Widzę to w tobie.

- Innymi słowy, czemu nie jestem bogobojnym klechą?

- Mhm - potaknęła Palyra.

- Na co? - zapytała Ewelina obojętnym tonem. Południca najwyraźniej nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Zbita z tropu, milczała przez chwilę, zmagając się z doborem odpowiednich słów, aż w końcu odpowiedziała.

- No... Nie wie... Przecież każdy, każdego ocenia. Bogowie też patrzą i ocenę piszą o twojej osobie. Każdy przecież święty chce być jak najlepiej ocenionym w oczach bogów?

Ewelina zaniósł się cierpkim śmiechem.

- Myślisz, że taką Sławę, takiego Roda, Takiego Swaroga, czy takiego Światyborę, interesuje to, jak się wyrażam? Jak się prezentuje?

- No... Nie, ale reszta? Oszustwa, kłamstwa... Czuję też od ciebie... Gorącą krew - zafrasowała się południca – Zabijałaś i to źle... Z bólem. Tego bogowie przecież dobrze nie oceniają.

- Gdyby bogowie... - Ewelina westchnęła z goryczą. - Gdyby bogowie chcieli, bym do nich przysłała, błyszcząc przykładem, to nie przekłębiliby mnie bezkresnym życiem. Ani nie odebraliby mi wyznawców, którym wzoru swego bym udzielać mogła.

- Nie rozumiem.

- Moja wiara jest martwa Palyrko. Nie ma już przed kim popisać się elokwentną erudycją ni uczyć nauk czy pomagać w pracy nad duszą. To co muszę, to odprawię. Kiedy trzeba się pomodlić, to pomodłę.

- Brak ci wiernych? Ale przecież może ja...

- Nie, nie możesz – Zaśmiała się pochmurnie Ewelina. - Nie wiem czemu, ale wy demony stronicie od bóstw niczym druid od zdrowego rozsądku. Bogowce

zresztą też. Pamiętacie o nich, ale życie dla siebie i innych, bo sami już jesteście zbawieni. Dusze chcące żyć wokół nas. - Południca potrząsnęła z rezygnacją głową. Ewelina w końcu wstała na równe nogi.

- Pofilozofujemy sobie kiedy indziej.

- Ale jak tooo – jęknęła z protestem w głosie Południca.

- Na przykład w drodze do Ostoi - odparła najemniczka. Południca wnet wypogodniała, ale z irytacją zaczęła przecierać oczy.

- Wszystko jakieś takie rozmazane i ciemne. Dziwnie widzę... Jakoś tak ciebie nie mogę dobrze zobaczyć.

- Boś się wgapiała w słup jak cielak, to teraz masz! – prychnęła prześmiewczo Ewelina.

- Zostanie mi tak!?

- Góra dwie godziny i przejdzie - powiedziała łagodnie. - Nie przecieraj, bo ty nie masz oczu, więc nic nie pomoże. Ja tymczasem... Muszę na jakąś chwilę wyjść i pogadać z sołtysiem. Im szybciej, tym lepiej.

- Obiecał ci za mnie złoto? - Południca wyszczerzyła się w szelmowskim uśmiechu. Ewelina potaknęła w odpowiedzi.

- I tak wątpię, by udało mu się cokolwiek zebrać. Tutejsi chłopcy jakoś nie stwarzali wrażenia szczególnie hojnych. Wezmę sobie coś cennego na wyjściu...- Kątem oka Ewelina spostrzegła znajdujący się na podeście dziwaczny, połyskujący jasnym srebrem puchar. Trójkątna czara, wykręcony trzon, i płaska płytka stanowiąca podstawę, unosiły się oddzielone od siebie w powietrzu. - No i wilka z lasu wywołałam. - Klasnęła dłońmi. - Stąd widzę, że platyna. Pewnie warte więcej niż ta cała ich wieś. - Podeszła do naczynia, ujęła je w dłoń, a to zniknęło w chmurze niebieskawego ognia.

- Nie wylaż z wieży, dopóki nie wrócę. I nie nuć dopóki wszystkiego nie zapamiętasz kamieniem. - Południca potaknęła porozumiewawczo głową, a Ewelina stanęła na barierce szybu i bez większych ceregieli zleciała w dół.

## VI

W powietrzu jeszcze unosił się rzeński zapach ulewy. Na całe szczęście pod iglicą nie czaił się już żaden elf. Wydawało się, że ci, którzy nie zlekli się wykreowanej zawieruchy w środku Nieboidzkiego dworku, uciekli w popłochu,



gdy ten zaczął iskrzyć i w końcu strzelił ku niebu wiązką energii. W wiosce zaś panowało poruszenie. Główną ścieżkę przecinającą środek wsi, przepełniał gwar zarówno ciekawskich jak i przestraszonych elfów oraz zanoszący się płacz ich dzieci. Jednak na widok Eweliny tłum zaczął się rozchodzić w pośpiechu. Nie chowali się może już w samych, grzybiastych chałupach, ale wypatrywali zza rogów, bądź udawali zajęcie, ściągając przemoknięte pranie czy naprawiając płoty. Ewelina dotarła przed oblicze pokaźnego domu sołtysa, ale nie zapukała od razu w drzwi. Zamiast tego, stanęła i to, co dla postronnego widza mogło się wydawać niezrozumiałym wpatrywaniem w drzwi, w rzeczywistości służyło nieoczywistemu wytężeniu słuchu Eweliny. Ze środka dobiegały głosy ożywionej rozmowy sołtysa... Z kimś.

- Zginiecie... Zginiecie tu wszyscy – zanosił błagalnym tonem Sołtys. - Nie możemy tu zostać.

- Niż nikt tu z ino tego padołu Jarko nie będzie odchodzić - odparł mu głęboki głos wrzeszczącego gościa. - My tu mieszkoł od dziadów i pradziadów. Karłami mi tu ni strasz słyszysz!?

- Nie rozumiesz, że to szaleństwo? Weźmy co drogie i wynośmy się. Płomienna sama mówił..

- A rudej dziopy mi tu nie przywołuj. Parszywa specjalnie karły sobie wymyśla, byśmy porządne chłopisko sobie poszło, a ona pokradła co nam dane.

- Atko błagam cię. Na Gruza błagam cię. Odpuść do cholery, Ona nie...

- Ja słuchać tego nie będziem! - wydał się dźwięk gwałtownie odsuwanego krzesła. - Ty masz służyć nam, a nie jej! Płać też jej sam!

„No to nici z zapłaty” Pomyślała Ewelina. Rozległ się dźwięk, gniewnie stawianych kroków, kierujących ku drzwiom. Płomienna, by nie budzić większych podejrzeń, otrząsnęła się ze skupienia i zapukała nim owy Atko dojdzie do drzwi. Otworzył jej wysoki, barczysty chłop. Pocięta wieloma bliznami prosta twarz dobitnie wyrażała, iż dość często zdarzało mu się w życiu stronić od bardziej skomplikowanych przemyśleń. Choć rzucił groźnym spojrzeniem ku Ewelinie, szybko pobladł i spuścił wzrok, mijając ją nerwowym chodem. Nie przejmując się zbytnio tym, co zaszło, Ewelina weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Grubawy starosta siedział na swoim miejscu z twarzą ukrytą w dłoniach. Uniósł w końcu wzrok ku Ewelinie i wzdrygnął zaskoczony, po czym, wstał jakby na bacność.

- Pani Ewelina, proszę nie stać tylko się - wskazał drżącą dłonią krzesło. Ewelina potaknęła i zasiadła przy stoliku. Milczała. Sołtys Jarko, westchnął ochryple, by po chwili samemu usiąść. W końcu zerczyni podjęła temat.

- Zły moment na sprawozdanie? - rzekła z przyjaznym uśmiechem.
- Nie, nie w żadnym wypadku. - Burknął cierpko. - Ot ci, różnica zdań. Pani... Co to było za światło?
- Wyładowanie magiczne. Mieliście tu lokalny kataklizm w procesie tworzenia. Tydzień, może dwa i cała dolina poszłaby z dymem.
- Czyli to... Pozał się Gruz - otarł czoło z potu. - To światło... Już nam to nie grozi?
- Ze strony Iglicy nie - odparła szorstko Ewelina. Jarko odwróciwszy wzrok, zmienił temat.
- A co z upiorem?
- „Śpi”, że się tak wyrażę, ale nie na długo. Upiorzycę trzeba jeszcze odpędzić w zaświaty. Rośnie tu jakiś klon, olsza czy cis?
- Przy piekarzu rośnie tu taki jeden stary klon...
- Świetnie - klasnęła dłońmi. - Powiesz swym zacnym towarzyszom, by po tym jak opuszczę wioskę, zaszyli się w domach i nie wychodzili z nich do rana. Niezależnie od tego, co mają jeszcze do zrobienia. - Sołtys przytaknął potwierdzająco głową. - I jak? Przemyślałeś sprawę?
- Nie rozumiem - spieszył się sołtys.
- Opuszczacie wioskę?
- Sołtys westchnął. - Przedstawiłem to chłopom... Nie chcą. Uważają, że brednie, że straszenie i swych ziem nie opuszczają.
- Płomienna pokiwała głową z rezygnacją. - A ty?
- A ja?
- Zamierzasz tu zostać? Przestań już zgrywać głupa, do dziecka mi daleko.
- Ja... Ja zostanę z nimi - wycedził drżącym głosem. - To dobre elfy, ktoś musi zostać i im radzić.
- To samobójstwo.
- Zawsze jest szansa, że nikt tu nie przyjdzie nas spalić.

- Nie ma takiej szansy...

Wnet zza rogu kuchni wyszła, a raczej wypadła czerwona od wściekłości piegowata żona sołtysa.

- Nie. Nie mogę już tego słuchać, no - syknęła cieniutkim, rozwścieczonym głosem w kierunku sołtysa.

- Maniutku – jęknął zrezygnowany.

- Nie. Dostyc. Po co jej kłamiesz. Czemu w tej jednej cholerniej sytuacji nie możesz wstrzymać się od swego lżenia. Czym chcesz się wykazać?! Nie będziemy tu mieszkać. Ja nie będę wychowywać swoich dzieci, wśród tych... oprawców, złodziei, kurwich synów!

- Maniutku oni nie są tacy...

- Jak śmiesz – ryknęła sołtysowa, z trudem wstrzymując się od przytłaczającej ją hysterii. -Znęcali się nad tobą, bili. Cebulą w ciebie rzucali za dziatkowania, pluli pod nogi i nazywali cię „Karmelowym Grubasem”, a ty jeszcze śmiesz ich wybraniać. Nie, to ja sobie porozmawiam teraz z tą Płomienną, a ty zamilcz. - Odwróciła się ku Ewelinie. Jej migdałowe oczy nie wyrażały tego samego lęku i niepewności co jej mąż. Błyskały rozpaczą zdeterminowanej matki. - Pani... Mąż mój, on wcześniej nie poprosił ciebie o rzecz, o którą już razem zdecydowaliśmy, że poprosi. Jeszcze przed twoim przyjściem.

- Nie krępuj się - odparła łagodnie Ewelina.

- Ta wioska. To nie jest dobre miejsce, by matka mogła wychować kogokolwiek. A przynajmniej nie mogła wychować na kogoś dobrego. Elfy tu są okrutne, chciwe, cyniczne. Ślepcy Trybunalni bez żadnej opieki. nie potrafią wykazywać wdzięczności za cokolwiek. Chcemy odejść, całą rodziną. Wbrew temu, co mówi mój kłamliwy mąż, ale nie mamy nic, co dałoby nam nowe życie. Wiem, że coś skrywasz, że czegoś nam wszystkim nie mówisz. Za długo żyłam z Jarkiem, by nie rozpoznać, gdy ktoś coś zataja.

- Przydałabyś się na dworze królewskim - rzekła rozbawiona Ewelina. Maniutka uśmiechnęła się nieśmiało, ale nie ustępowała ze słowotoku.

- Nie obchodzi już mnie to, co jest w tej wieży. Wiem jednak, że kiedy tylko ogłosisz, że jest już po robocie... Tutejsi zagarną wszystko. I nie pozwolą nam odejść z czymkolwiek. Karłolud czy nie... Chcemy opuścić tę wieś jeszcze dzisiaj lub jutro, gdy wszyscy będą zajęci plądrowaniem. Błagam cię. Gdybyś tam wróciła. Wynieś coś dla nas. Byle co, cokolwiek co pozwoli nam na zaczęcie życia gdzie indziej - zamilkła. Myśli Eweliny skupiały się wokół pucharu, wcześniej ze sobą zabranego. Wygodniej byłoby im teraz go dać, ale wieśniacy

mogą się zorientować i odebrać go sołtysom, lepiej, aż wtargną do iglicy. Rewelacje sołtysowej na temat wioski, nieszczęśliwie ją zdziwiły. Wioska zaszyta gdzieś na bezludziu z dala od głównych miast i miasteczek. Pełno takich było na Śródlądziu, gdzie kapłani czy to Biało-Trybunalscy czy Grusywitcy woleli toczyć batalie polityczne na tutejszych dworach. Nie było pasterzy, by nieść ukierunkowanie swej parszewej, choć wciąż wiary, ociemniałym masom. Co najwyżej zebrać haracz. Na skutek czego Elfy upodlały się, popadały w niebywały materializm, by jednocześnie wystawiać co to lepsze śniadania i jednocześnie mieć z czego płacić daninę, i w ostateczności nie zostać powieszonymi bądź przeklętymi.

- Naprawdeś, wybrał mądrą żonkę, sołtysie - posłała Jarkowi łobuzerski uśmiech. Para najwidoczniej się zmieszała, ale nawet sam Jarko bijący się wcześniej po głowie, uśmiechnął się blado. - Żaden problem. Wprawdzie wzięłam już coś, co mogę wam... - urwała. Nawet nie wiedziała od kiedy zaczęła słyszeć narastającą bieganinę i krzyki na zewnątrz. Po prostu nie przykładała do tego większej uwagi, jako iż potraktowała to jako typowy wioskowy zgiełk. Coś się jednak nie zgadzało. Tupoty i wrzaski, poprzedzały dźwięki otwieranych i zamykanych drzwi. wołania stawały się coraz to bardziej rozjuszone, a czasem wydobywał się nawet zgrzyt metalowych narzędzi ocierających o skałę i drewno. Coś co jednak sprawiło, że owej chwili serce Eweliny stanęło w gardle. Był huk rozpalanej pochodni i odległe kroki kierujące się ku... Iglicy. Nie zwróciła nawet uwagi na to, kiedy po jej policzkach pociekły łzy. Wnet oderwała się od krzesła i wybiegła w pośpiechu przez drzwi. Jej obawy się potwierdziły. Ku skrzaciemu dworowi kierowała się grupka siedmiu elfów dzierżących widły, motyki i pochodnie. Wioska zaś opustoszała. Ewelina pognęła niczym błyskawica. Nie zaczekała nawet na wybiegającego przed drzwi sołtysa, z którego ust padło pewnie coś w stylu zawołania „Czekaj”. Minęła spoglądających na nią z odrazą wieśniaków. Nie zajęło jej wiele czasu, by zanurzyć się w ścianie lasu na skraju wioski. Pędziła. Mijała kołyszące na wietrze latarenki przybite do pni, połacie wyciętych drzew, podeptanych grzybów, skruszonych kryształów oraz pojedynczych wzburzonych chłopów. Fale niebieskiej magii oplatały nogi, wchodząc rytmicznie pod buty, tylko po to, by delikatnie odpychać stopę od podłoża, zostawiając za każdym stąpieniem chmurkę niebieskawego kurzu. Wszystko byle tylko nabrać tępa. Musiała zdążyć. Nie mogła zawieść, nie Ją.

Znalazła się w końcu przed bramą prowadzącą na dawny skrzaci dworek i... Zamarła, ale tylko na chwilę. Przed Iglicą rozpościerał się tłum skandujących wściekłych elfów noszących wszelkie narzędzia, którymi można wyrządzić szkodę. Mimo opanowujących ją dreszczy i zimna, Ewelina ruszyła pewnym siebie, zdeterminowanym krokiem. Tłum o dziwo, rozstał się przed nią, lecz wcale to go nie ostudziło. Dość żywo odgrażali i ślali ku Ewelinie klątwy, krzywiąc swoje prostackie mordy w grymasie nienawiści. „Czarcia suka z demonami się kumpluje!”, „Widziała to dziwactwo chłopi? Włosy kurwy krwią nasiąkają takich jak nas!”, „Zdradziecka sucz!”. Ewelina jednak nie zwracała na nich uwagi, zwłaszcza, że przywykła już do takich wyzwisk. Stąpała równym,

byczym chodem z oczyma wypełnionymi strachem i determinacją, skupiającymi się na wrotach iglicy.

Znalazła się w końcu w holu wieży. Z góry, zdaje z piątego piętra, rozchodził się wrogi ton rozmów, szur desek po kamieniu i... ciche pochlipywanie. Po policzkach Płomiennej, potoczyły strumienie łez. Bez wahania wyskoczyła, łapiąc się wyrwy prowadzącej na pierwsze piętro, pospieszyła korytarzem ku klatce schodowej. Stąpając z hukiem po schodach, minęła obłożonego skrzacimi skarbami, wieśniaka. Ten zająknął na widok pędzącej ku niemu Płomiennej, by ta po dotarciu do niego chwyciła go za kożuch i cisnęła nim za siebie. Skowyt i trzaskanie upadających artefaktów, zagłuszyły wydźwięk pękającego karku. Nie zwróciła na to uwagi, gnała dalej na górę, miała teraz jedne jedyne powołanie. By dostać się na piąte piętro. Aż w końcu dotarła... i z trudem powstrzymała od opadnięcia na kolana.

W wyłożonym czarnym kamieniem pomieszczeniu, z poodsuwanymi po bokach hebanowymi ławami, kucało w świetle pochodni trzech rosłych mężczyzn, pracujących nad węzłami krzyża, do którego przywiązana była boleśnie łkająca Palynra. Bez zastanawiania się Ewelina rozjarzyła swe oczodoły buchającymi płomieniami niebieskiej energii. Wnet, trzech szemrających ponurym humorem wieśniaków, zajęło się błękitnym ogniem, by przed ich tułowiami wybuchła chmura niebieskiej energii, i posłała ich z wrzaskiem, w głąb szybu iglicy. Płomienna trzęsąc się z żalu, podbiegła do Palynry i klękła w roztaczającej się wokół krzyża, kałuży złotej krwi. Ku jej oczom okazał się makabryczny widok chlipiącej ciężko Południcy. Liczne rany cięte i klute sączące strumykami złotej posoki. pokrywały całość sylwetki Palynry. Ewa zdławiła w sobie narastający skowyt paniki, na widok leżących obok narzędzi zbrodni. Widły, kosa i siekierka, gdzie ostre krawędzie pozłacała ponuro ściekająca ciecz. Węzły pętające dłonie i stopy do krzyża zapłonęły lazurowym ogniem, umożliwiając Palynrze ruch. Ta, jakby dopiero teraz do niej dotarło, kto przy niej klęczy, przestała szlochać i uniosła ociężałe powieki. Spojrzała na Ewelinę ciężkim pytającym wzrokiem.

- Nie... - szepnęła bolesnym głosem. - Nie można już... Tego uleczyć... Tak?

Ewelina spuściła głowę z pustym wzrokiem, zaciskając przy tym pięści. Widząc to, Palynra wykrzywiła się w bolesny uśmiech.

- Głupiutka byłam – kontynuowała. – Oj, jakaż byłam głupiutka... Nie pomyślałam... Nie widziałam... Gdy wszedł jeden z nich... Myślałam, że to ty. Nie wiem czemu nie mogłam się bronić. – kaszlnęła, wypluwając złotą krew. Chwyciła brodę Eweliny. Wzrok pokrytej strugami łez, przepelnionej żalem twarzy kapłanki zjednał się ze wzrokiem południcy. Ta chwyciła ją delikatnie za dłoń.

- Ewuś...? - spytała z boleścią w głosie. - Czemu... Czemu mi to zrobili?

- Nienawidzą nas - wycedziła przez zaciśnięte zęby, głosem pełnym gorczy, Ewelina. - Nienawidzą nas za to czym jesteśmy. Nienawidzą nas za to, że jesteśmy świadectwem starego porządku, którego nie przyszło im budować. Nienawidzą nas za to, że samym swoim istnieniem zakłócamy ich idealny pogląd na życie, religię, wartości, które wyznają. Nienawidzą nas, starców starego świata, którego usilnie starali się zgładzić i zastąpić. Nienawidzą nas za to, że nie ustąpiliśmy i nie odeszliśmy w nieznane, gdy przyszła pora ich epoki.

- To... Przed tym światem... Chciałaś mnie ukryć tak? - Ewelina ponownie spuściła wzrok. - Jesteś moją latarenką Ewciu... Świąteczkiem nadziei... Lata tu spędzałam w ciemnościach iglicy, opiekując się rodziną chowającą okrutnika... Bez żadnych rozmów z nimi... Szczerego śmiechu, kogoś, kto by mógł mnie zobaczyć i nie widziałby... Potworzycy. Wiem jak wyglądam... Znam legendy... Głupia naiwna mieszcza dająca się zabić narzeczonemu na polach... Udawałam. Nie chciałam wiedzieć... A tu pewnego dnia przychodzisz Ty... By mnie stąd przegonić - ponownie uniosła brodę Eweliny. - A teraz... Dałabym się tobie zaprowadzić wszędzie. - Ewelina zaszlochała. Południca spojrzała w stronę jarzącego się krwistą czerwienią kamienia. Zanuciła, a kamień zgasł. - Może, będą lepsze czasy... Gdzie pamięć o mnie będzie przestrogą - chwyciła kamień i włożyła go do kieszeni Płomienniej, ponownie wpatrując się w nią. - P-proszę... Mnie to wszystko boli... Tak bardzo. Będę długo umierała, wiem o tym. Zaprowadź mnie tam, gdzie możesz... Wyprowadź mnie z tego świata... Niech mnie już... Nie boli. - Z tymi ostatnimi słowami przymknęła powieki, kierując głowę ku sufitowi. Ewelina skrzywiła się w wypełniającym jej żalu grymasie. Pogładziła wierzchem dłoni po wklęsłym policzku Palynry. Ułożyła dłonie na cienkiej szyi południcy. Już nie mogła powstrzymać spazmatycznych jęków, oddechów i łkań. Rozjarzyła dłonie i w końcu... Nacisnęła, łamiąc Palynrze kark, by w tym samym momencie dać upust zbierającej się w jej krtani rozpacz i wydobyć niosący się po całej iglicy pełny lamentu ryk. Zatoczyła się na bok. Płakała, jęczała boleśnie i łkała przez następne parę chwil, aż w końcu nastąpiła cisza. Wpatrywała się pustym wzrokiem w nieruchome ciało Południcy. Reliktu niosącego w sobie dech, cząstkę duszy starego świata. Jej świata, którego jej odebrano. Zabrali ją, tak jak zabrali jej świat. Jej głowę wypełniły własne słowa, wypowiedziane w odpowiedzi na kruszące pytanie Palynry „Nienawidzą nas. Nienawidzą nas za to czym jesteśmy...” . Usłyszała, jak parter wypełnił tupot tłumu. Jak z prowadzącej na to piętro klatki schodowej, wydobywał się huk biegnących butów. „Nienawidzą nas”. Oczy Eweliny rozjarzyły się niebieskimi płomieniami. „Nienawidzą nas”.

A ona nienawidziła ich.

## VII

Demony nie płonęły tak jak inne istoty. Ciała upiorów, elfów czy ludzi zapadały się z syczeniem same w sobie, zostawiając nieprzyjemny zapach palącego się trupiego mięsa, ujawniając makabrę wnętrzości i kości. Demony tak nie odchodziły w płomieniach. Zamiast syczenia, melodyjne brzmienie dzwonek na wietrze. Przyprawiający o mdłości smród palonych zwłok, zastępował kojący zapach łamanych igieł cedru i kwiatów polnych. Ciało zaś nie okrywało się czernią spalenizny, ni w sobie zapadało, starzejąc się nienaturalnie. Zamiast tego skóra tężała, powracając do swych oryginalnych kształtów jeszcze sprzed śmierci, czy w wypadku choćby południc i strzyg, przemiany, po to by płatami, niczym z rozbitej porcelany, odrywać się od ciała zamieniając się w rzesze jarzących się złotym światłem ogników i motylów gnających w nieznaną ku niebu.

Tak właśnie wyglądała teraz Palynra spoczywająca na płonącym stosie, pośród pola żegnającego wieczorne słońce. Piękna młoda dziewczyna, mieniąca się złotymi światłami, leżąca ze spokojnym uśmiechem w wiecznym śnie. Ewelina stała milcząca, ze stoickim spokojem wpatrując się w ciało zmarłej południcy. Nie zwracała już uwagi na echa przekrzykujących się wściekle mężczyzn i ich krzyczących z przerażenia kobiet, lamentujących i starających się pewnie gasić pożar Iglicy, w oddali pokrywający skrawek nieba łuną niebieskich płomieni. W tym momencie potrafiła się wsłuchać wyłącznie w anielskie dźwięki dzwonek. Nie zwróciła nawet uwagi na zbliżające się ku niej pośpieszne stawiane kroki łamiące suche źdźbła trawy. Po chwili zza jej pleców doszedł ją już tak bardzo znajomy głos sapiącego z wysiłku sołtysa.

- Pani najdroższa! - wydobył z siebie uniesionym głosem. - Pani najdroższa! Wie pani jacy oni są teraz... O nie - ujrawszy i zrozumiawszy co leży na stosie, stanął jak wryty i odsapnął z goryczą. Wykrzywił się w grymasie bolesnej, wstydlivej skruchy, drapiąc się po skroni. - Ja... Przepraszam pani. Ja chciałem ostrzec, że nie chcieli tego słuchać... Przepraszam cię za ni... - sapnął boleśnie, ściskając powieki. - Zabronili mi wyjść. Zaciągnęli mnie do chaty z powrotem. Grozili mi i żonie i dzieciom, że zrobią nam złe rzeczy, jak tylko spróbuję wyjść. Chciałem cię ostrzec, przedłużyć trochę, by nie skojarzyli zbyt szybko iż wydałem ich plany. Ale było już za późno, nie wiedziałem, że tak od razu... Tak bardzo was przepraszam. - Ewelina milczała, a Jarko zamilkł i również pograżył się w zadumie wsłuchawszy w dzwonki. Trwali tak trochę. Słońce chowało się już za horyzontem, a niebo za nimi wypełniała jarząca się łuna niebieskiego pożaru. Do momentu, aż Palynra niemal całkowicie się rozpadła. Widząc to, Sołtys przerwał ciszę i znów zagadnął stojącą w milczeniu Ewelinę.

- Nie wiedziałem, że ktoś tak pięknie potrafi odchodzić - powiedział w nietypowym dla niego spokojnym tonie. - Moja żona miała rację. Zawsze miała rację. W tej wiosce nie ma przyszłości i nigdy jej nie było. Ale była moim światem, z którego tak strasznie bałem się odejść. Dawno zresztą powinienem to zrobić - spojrzął ku Płomiennej. - Ewelino. Wiem, że to okropny moment na tego typu prośby, ale zrozum. Muszę. Bandyci się ciebie boją, w pogoń za nami



też będą się bali udać. Moja rodzina. Nie obronimy się. Zabierz się proszę z nami, przynajmniej do najbliższego miasteczka. Wyprowadź nas proszę z tego świata.

Ewelina długo nie odpowiadała, aż w końcu odetchnęła głęboko i spojrzała ku ciemniejącemu niebu, na którym widniały jeszcze złote ogniki. Odwróciła się, skupiając swój wzrok, ku stojącemu na niedalekiej ścieżce wozowi, na którym krzątała się dwójka dzieci, a siedząca na ławie, znana jej, kobieta trzymająca lejce żubra, wpatrywała się z wyczekiwaniem w Ewelinę. Ta w końcu ruszyła ku nim. Na odchodnym przekazała w dłonie Jarka dziwnie wyglądający puchar z jasnego srebra, klepiąc go przy tym po barku. Sołtys nie podążył za nią wzrokiem, przyjrzał się tylko z tłumionym entuzjazmem, naczyniu. Stał tak, przyglądając się już zwęglającemu się stosowi, po czym odwrócił się i poszedł za Płomienną.

